[redacted]. 49. Lwów — Piątek dnia 28 Lutego. Rok 1896.

[redacted]chodzi w dni powszednie [redacted]ie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na Prowincyi . . . . . 6 „

Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jako o zareczynach, ślubach, weselach, narodzeniach, żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłate należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 1 „
za słowo drukiem garmondem po . . . . 2 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce . . 20 ct.
Reklamy . . . . 30 „
Nekrologia . . . . 30 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś:	św. Leandra	Pamfylyja	Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Jutro:	św. Romana	Fteodora	

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 6 m. 53
Zachód „ „ 5 „ 35

Długość dnia g. 10 m. 42
Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 27 lutego.

Z wielką natarczywością poczęły dowodzić dzienniki francuskie i rosyjskie, że trójprzymierze, jeśli naprawdę jest „ligą pokojową“, powinno się rozwiązać, bo ono już tylko jedno grozi Europie wojną, jeśli nie zamiarami swemi, to tem, że tworzy wielki uzbrojony obóz O francuskich urojeniach, rozwijających się na tle prawdopodobnego spotkania się Cesarza Franciszka Józefa z prezydentem Faure'm w Cap Saint Martin, wspomniano już w naszym liście wiedeńskim z 24 b. m. Zdaje się, że Francuzom świta w głowie możliwość przymknięcia Austryi do franko-rosyjskiego porozumienia, a jeśli to im rzeczywiście się wyobraża, to widocznie umieją patrzeć na rzeczy tylko ze stanowiska własnych interesów. Tę samą tezę inaczej rozwija prasa rosyjska. Nie wiemy skąd wzięła ona, że Bismark, układając w roku 1882 trójprzymierze, tak się wyraził: „Cała polityka europejska opiera się na trzech zasadniczych punktach: na nienawiści Francyi do Niemiec, na dążeniu Rosyi do Konstantynopola i na życzeniu Włoch zagarnąć Tryest i Trydent. Zadaniem trójprzymierza jest uczynić te punkty nieruchomemi“. Jeżeli Bismark coś podobnego powiedział, to chyba niezupełnie tak, bo rzecz jasna, że Włochy nie weszłyby do trójprzymierza, gdyby naprawdę myślały o Tryeście i Trydencie, których trójprzymierze postanowiło im nie dać. Lecz mniejsza o to. Obaczmy, jak dalej rozumuje prasa rosyjska. Nienawiść francuska już ostyga Republika i Niemcy szły razem w kwestyi japońsko-chińskiej, tureckiej i transwaalskiej. Niemcy przekonały się w roku 1887-ym, że nie zdołają raz wtóry zmiażdżyć Francyi i podzielić jej na parę państewek, a znowu Francuzi przejrzeli, że zamiast odbierać Alzacyę i Lotaryngię, lepiej jest zdobywać ogromne kraje w innych częściach świata Zatem pierwsza racya istnienia ligi potrójnej znikła. To samo stało się z drugą racyą, bo Rosya moralnie panuje na całym półwyspie bałkańskim, nie wyłączając Turcyi, zatem, gdyby chciała, toby poszła do Konstantynopola, a że nietylko sama nie idzie, ale i innym iść nie pozwala, to właśnie dowodzi, iż gorąco pragnie długiego i powszechnego pokoju. Wreszcie racya trzecia nie jest żadną racyą odkąd słabość Włoch wystąpiła w sposób „prawdziwie skandaliczny“ w wojnie z Menelikiem. Urok trójprzymierza zgasł tak zupełnie, że Koburg zdecydował się przejść do słowiańskiego i prawosławnego świata. Trójprzymierze jest tedy tem, co fizyologowie nazywają „szczątkowym narządem“, a ponieważ śmieszne są polityczne czynniki, które przeżyły racyę swego bytu, przeto trójprzymierze powinno zniknąć.

Rozczulająca jest ta rosyjska troskliwość o to, aby trzy mocarstwa środkowej Europy nie były śmieszne. W gruncie jednak rzeczy, w całem rozumowaniu tej prasy jedno tylko jest trafne, że mianowicie Koburgowi nie imponuje urok trójprzymierza. W znacznej mierze wina to hr. Kalnoky'ego, któremu zanadto zawsze imponował rosyjski urok, a zresztą trudno, aby Koburgowi imponowało cokolwiek, kiedy już nawet nic sobie nie robi z religijnego sumienia. Rosyjskie dzienniki przytaczają jego toast, wygłoszony podczas śniadania, które dał dla dziennikarzy przybyłych z Petersburga i Moskwy na akt apostazyi. Między innemi powiedział on tak: „Zasług rosyjskich dla Bułgaryi niepodobna zapomnieć. Ja osobiście byłem zawsze przejęty głęboką wdzięcznością dla potężnej Rosyi, która miłuje pokój i sprawiedliwość (zapewne przez wdzięczność pozwolił był ogłosić kompromitujące Rosyę akta Jacobsohna). Bułgarya mocna jest siłą, której cząstkę sama stanowi, siłą przepotężną słowiaństwa, kierowaną przez wielką północną siostrę Bułgaryi. Za powodzenie tej siły i ducha, który z niej płynie, podnoszę ten kielich!“ Z tego widać, że Niemiec Koburg stał się nawet panslawistą. Jego wschodnia gwiazda biegnie tak prędko, że chyba jest meteorem. W każdym jednak razie Rosyanie mogą pochwalić się Koburgiem: zupełnie im się udał, więc niech-że go mają, ale z trójprzymierzem muszą się jeszcze liczyć, nawet więcej teraz, niż przedtem, właśnie z powodu zmian na bałkańskim półwyspie. Powstało ono w roku 1879 jako dwójprzymierze w odpowiedź na zbliżanie się ku sobie Francyi i Rosyi, a w roku 1882 zmieniło się w trójprzymierze, gdy owo zbliżenie się wydało owoc w postaci „porozumienia“, które z kolei rzeczy stało się w roku 1891 sojuszem, jak to teraz wyraźnie podnoszą rosyjskie dzienniki. Zatem niech pierwej rozwiąże się ten sojusz, a potem dopiero można mówić o zbyteczności potrójnej ligi.

Zdaje się jednak, że ów franko-rosyjski sojusz, do którego oprócz Koburga można teraz zaliczyć i Turcyę, wcale o pokoju nie myśli, skoro dotyka drażliwych spraw. Dwa londyńskie dzienniki: ministeryalny *Morning Post* i opozycyjna *Pall-Mall Gazette* jednocześnie doniosły teraz, że wiadomość *Timesa* o poruszeniu przez Turcyę sprawy egipskiej była jednak prawdziwa, lubo sułtan nie polecił jeszcze swemu londyńskiemu ambasadorowi podnieść tej kwestyi oficyalnie. Właśnie teraz francuski ambasador w Konstantynopolu p. Cambon udał się do Kairu, gdzie wszedł w poufne rokowania z chedywem. Z tego powodu *Morning Post* pisze: „Poruszenie sprawy egipskiej będzie nowym zamachem na pokój ze strony sojuszu franko-rosyjskiego, bo oczywiście sama Turcya nie poważyłaby się na taki hazard. W obec tego stało się zadaniem naszego rządu postarać się o to, aby nie utworzyła się w Europie kombinacya szkodliwa dla Anglii. Jeśli się uwzględni, że na całej kuli ziemskiej Brytania natrafia na przeszkody ze strony Francyi i Rosyi, to stanie się jasnem, że ona powinna ściśle połączyć się z trójprzymierzem i przyjąć wszystkie konsekwencye, jakie z tego muszą wyniknąć. Pewne naprężenie między Anglią a Niemcami z powodu spraw kolonialnych ma w obec doniosłych kwestyj, dojrzewających w Europie, znaczenie bardzo podrzędne dla obu tych mocarstw“.

Te wyrazy, wygłoszone w państwie, które nigdy dotąd nie należało do trójprzymierza, uwalniają prasę mocarstw środkowo-europejskich od odpowiedzi dziennikom francuskim i rosyjskim na ich wywody o zbyteczności ligi potrójnej. Dość będzie zaznaczyć, że owszem teraz właśnie ta liga powinna wzmocnić swą czujność.

Bardzo ciekawe oświadczenie złożyli dwaj francuscy ministrowie w Châlons-sur-Marne na bankiecie, danym tam przez radę miejską z powodu otwarcia wzorowych warsztatów przy szkole przemysłowej. Minister handlu Mésureur rzekł: „My jesteśmy rządem, który przedewszystkiem postanowił myśleć i działać dla ubogich i maluczkich; w ten sposób jesteśmy rządem, który mądrze i praktycznie wprowadza socyalizm i wszystkie kwestye ekonomiczne rozważa ze stanowiska socyalistycznego. My dostarczamy dowodu, że radykalne rządy możliwe są w republice, a jeśli w skutek jakiegoś niepowodzenia parlamentarnego upadniemy, to przynajmniej zaświadczymy sobą, że republikańscy radykałowie i socyaliści stanowią siłę zdolną do rządzenia“. Bourgeois zaś rzekł: „Złączmy się przeciw wrogom prawdziwej demokracyi! My, jako rząd, nie dbamy o siebie, — co nam po władzy! — ale jesteśmy prawymi synami zasad wielkiej rewolucyi i chcemy je dalej rozwijać. Ta rewolucya postawiła dogmat wolności osobistej, a my powiadamy, że owej wolności być nie może, dopóki istnieje ekonomiczna zależność człowieka od kapitału. Dlatego rozszerzamy pojęcie wolności; wszystkie wolne jednostki chcemy zjednoczyć do walki z wszystkiemi zawadami, które krępują człowieka. To jest nasz program!“

Program zupełnie anarchiczny, bo jeśli uwolnić ludzi od wszelkich reguł, które oni przez długie wieki stworzyli dla siebie, aby mogli być społeczeństwem, to cóż zostanie? Chyba tylko konstytucya wilków w głuchej puszczy. I co to za rząd, który przeczy pojęciu o rządzie? Pięknie jest myśleć o maluczkich i dla nich pracować; rząd, który to czyni, godzien szacunku, ale pod warunkiem, że jednak przedewszystkiem pracuje dla całego państwa i narodu, bo po to jest rządem, a nie dyrekcyą stowarzyszenia dobroczynnego. Jakie zresztą ma on narzędzia do odróżniania całkiem maluczkich od trochę większych?

Obie te mowy były oczywiście zastosowane do słuchaczy i od nich otrzymały oklaski. Ta sztuka dogadzania słuchaczom kwitnie teraz we Francyi, tocząc jak robactwo zdrową myśl społeczną. Nie to ważne, że tak mówili ci dwaj ministrowie, ale to, że tak mówić pozwala im zmysł samozachowawczy. Widocznie prądy skrajne, anarchiczne, rzeczywiście zaczynają panować we Francyi, skoro rząd przyznaje się do nich. To jest znak czasu, dowód zbliżania się rewolucyi.

Zjazd w Mentonie.

Piszą nam z Wiednia 26 lutego:

W piątek 6 marca odbędzie się w Mentonie zapowiedziany od dawna, choć do ostatniej chwili podawany w wątpliwość, zjazd Cesarza Franciszka Józefa z prezydentem Faurem. Mentona jest ostatniem miastem Francyi ku granicy włoskiej, oddalona tylko o 10 kilometrów od włoskiego miasta granicznego Ventimiglii. Rozłożona szeroko na brzegu morza Śródziemnego, od północy strzeżona amfiteatrem gór, okrytych lasami oliw i pomarańcz, Mentona jest jedną z najrozkoszniejszych stacyi Riviery. Po obu stronach starego miasta o wązkich i krętych ulicach i wysokich kamienicach, wzdłuż morza, roztaczają się przestronne nowe dzielnice o wykwintnych pałacykach i willach. Z dworca, znajdującego się na północnej peryferyi miasta, szeroka avenue de la gare na prawym brzegu strumyka Carrei w kierunku południowym, dąży do brzegu morza, po promenade du midi ku zachodowi docieramy do ratusza, po za którym piętrzy się stare miasto. W ratuszu, którego fasada zwrócona ku morzu, a tylny bok ku ulicy św. Michała, odbędzie się zjazd Cesarza z prezydentem. P. Faure dnia 6 z rana z Nizzy, a więc omijając Cap Saint Martin, przybędzie do Mentony, aby asystować przy odsłonięciu pomnika, wystawionego z powodu przyłączenia Mentony do Francyi (w r. 1861); po pierwszej godzinie stanie w ratuszu, dokąd w kilka minut potem zawita Cesarz. W sali radnej ratusza przez kwadrans Cesarz będzie rozmawiał z Faurem, poczem powróci do Cap Saint Martin, gdzie niebawem, wracając do Nizzy, p. Faure złoży wizytę parze cesarskiej.

Oczywiście zjazd ten zwraca na siebie powszechną uwagę. Riviera francuska od kilku lat staje się coraz wyraźniej ulubionem miejscem schadzki nie tylko, jak dawniej, wielkiego świata, ale największego, albo, jak się wyrażają urzędowe organa „najwyższego“. Zaledwo Cesarz Franciszek Józef przywitał się w Cap Saint Martin z Cesarzową Elżbietą i jej siostrą, otrzymał wizytę bawiącego w pobliżu carewicza i odwiedził excesarzowę Eugenię. W pobliżu bawi także księżna bułgarska Marya Ludwika, a trzebaby zrobić spory wyciąg z genealogicznego almanachu gotajskiego, aby wyliczyć wszystkich dostojnych i najdostojniejszych gości Riviery. W Paryżu widokręg ciągle się zachmurza, a panu Faure w pięknym pałacyku przy polach elizejskich coraz duszniej, ale za to na Rivierze dozna obficie wszelkich słodyczy i przyjemności swego nie zbyt nęcącego urzędu. Jeżeli prawda, co powiedział J. J. Rousseau: „L'Anglais a les préjugés de l'orgueil, et le Français ceux de la vanité“, (Anglik jest pyszny, a Francuz próżny), — to zapowiedziany zjazd prezydenta z Cesarzem Franciszkiem Józefem niezawodnie sprawi Francuzom bardzo wielką radość. W kołach republikańskich będzie on witany jako, aby się tak wyrazić: towarzyska sankcya republiki przez reprezentanta najstarszej dynastyi europejskiej. Żaden z 6 prezydentów republiki od r. 1871 nie dostąpił zaszczytu spotkania się z Cesarzem. Pierwszy doczekał go się p. Faure, z czego należałoby wnosić, że pewna mierność osobista przy szczęściu prowadzi dalej, niż rzeczywiste zasługi i zdolności (np. Thiersa i Mac Mahona).

Bądź co bądź, po za malowniczą stroną zjazdu nie wypadnie domyślać się ważniejszej, politycznej doniosłości. Wprawdzie tutejsze antysemickie i niemiecko-narodowe organa opozycyjne, zapowiadające od kilku tygodni zbliżenie się Austro-Węgier do Francyi (przeciwko Niemcom i Rosyi!!), nie omieszkają zużytkować zjazdu w celach tendencyjnych. W odpowiedzi na takie elukubracye wystarcza prosta uwaga, że w 25 minut nie układają się nowe sojusze, stanowiące zupełny przewrót systemu internacyonalnego, który istnieje od lat kilkunastu, właściwie już od roku 1871. Właśnie, gdyby się zanosiło na zwrot ku Francyi, zjazd z pewnością nie nastąpiłby. Tak *coram publico* nie dokonywały się ważne polityczne zwroty. Jedyny słuszny sens moralny zapowiedzianego zjazdu jest ten, że, jak liga potrójna nie przeszkadza zjazdom cesarza Wilhelma z carem, tak też nie krępuje Cesarza Franciszka Józefa w wycieczkach na Rivierę. Dopatrywać się w takich zjazdach pewnej rękojmi pokoju byłoby optymistycznem, niewątpliwie jednak są one symptomatem ogólnego nastroju pokojowego.

Korespondencye.

Warszawa 24 lutego.

(*Azet.*) D. 22 b. m. o godzinie 1 z południa otwarto u nas wystawę nasion, produktów gospodarstwa wiejskiego i nawozów rolniczych. Aktu otwarcia dopełnił p. Petrow, pomocnik jenerał-gubernatora, którym się coraz częściej p. Szuwałow w takich razach wyręcza. P. Petrowowi towarzyszyli w zwiedzaniu wystawy prezes muzeum przemysłu i rolnictwa p. Kisłański, p. Kłobukowski, przewodniczący w komitecie wystawy, oraz jeszcze kilku członków. Ta tegoroczna wystawa, w porównaniu z poprzednią, przedstawia się trochę skromniej pod względem ilościowym, ale odznacza się za to doborem poszczególnych okazów, nadesłanych przez wybitniejsze gospodarstwa krajowe i przez wielkie firmy handlowe. Publiczność zwiedza wystawę bardzo licznie. Wstęp kosztuje 20 kop.

Wśród tutejszego świata rzemieślniczego panuje pewien ruch, z powodu przygotowań do wystawy w Niżnym Nowgorodzie. Wielu z naszych rzemieślników, a szczególniej też tapicerów, dekoratorów, ślusarzy, stolarzy i mechaników, otrzymawszy bardzo korzystne oferty, wyjechali już do Niżnego Nowgorodu, gdzie będą zajęci różnemi robotami przy urządzaniu wystawy. Codzień prawie partya takich rzemieślników wyjeżdża. Naturalnie są to roboty czasowe, ale bardzo wysoko płatne, pozwalające z zaoszczędzonym kapitalikiem wrócić do Warszawy, aby sobie byt dalszy poprawić. Rzemieślnik polski w Rosyi jest ogromnie poszukiwany i ceniony, a n. p. przy robotach na wystawie w Niżnym Nowgorodzie nastręczają im się podczas wystawy, która dosyć długo trwać będzie i po wystawie mnóstwo znakomicie płatnych robót przez tamtejszych wielkich przemysłowców przedsiębranych.

Przed paru miesiącami w tutejszych kołach finansowych powstała myśl założenia no-

---

8)

MICHAŁ LITYŃSKI.

SYCYLIA

WRAŻENIA Z WYCIECZKI.

(Ciąg dalszy).

IV.

Wschodnie wybrzeże Sycylii — Giardini di Taormina. — Katania. — Syrakuzy.

Znowu siedzę w wagonie i przypatruję się uroczej okolicy, której jadąc nocą do Messiny widzieć nie mogłem. Z jednej strony na lewo mam prześliczny widok na morze, na coraz bardziej ku południowi rozszerzającą się cieśninę a za nią warstwą białych obłoków przysłonięte kalabryjskie góry i bielejące się domy Reggio di Calabria

Wiele statków żaglowych i potężne parowce zbliżają się od strony jońskiego morza; na prawo zaś na wulkanicznych pagórkach i wądołach bujną roślinnością i drzewami pomarańczowemi pokrytych, białe domy Messiny a jeszcze dalej jako tło obrazu wyższy, nagi, skalisty, ciemny grzbiet górski w wielu miejscach przez trzęsienie ziemi poszarpany i rozpadły. Wszystko to oświetlone wspaniałem słońcem cudnego poranku południowego wywołuje nietylko zachwyt, ale orzeźwia ducha i ciało. W takich chwilach nie pamięta się o trudach i niewygodach podróży; pełne żaru południowego widoki pochłaniają całą istotę i wlewają w nią wesołość i zdrowie, w taki sposób przyroda czarem swoim odmładza i uszlachetnia człowieka.

Jak w pobliżu Palerma tak i tutaj wpada pociąg w okolicę sadów cytrynowych. Takiej obfitości drzew, uginających się pod brzemieniem owych, niekiedy zadziwiająco olbrzymich żółtych owoców, jak w Sycylii, nie spotkałem nigdzie we Włoszech; dojrzewają one, jak mi mówiono, w dobrych latach dwa i trzy razy, podczas gdy pomarańcze raz tylko do roku wydają owoce.

Dalej na prawo na wzgórzu zielenią się cyprysy prześlicznego Campo Santo, szkoda że je tylko od prawego boku widzieć można. W głębi arkady i szeregi kolumn przypominają jakby greckie lub rzymskie świątynie. Z poza nich jaśnieje w słońcu biały kościół gotycki.

Drogą nad morzem ciągną dwukołowe wózki, właściwie małe pudła na wysokich kołach, całe malowane pstremi barwami, wśród których przeważa kolor jasno żółty. Są one osobliwością wyłącznie sycylijską. Na wszystkich bokach pudła wymalowane są obrazy z życia oryentalnego lub sceny z oper włoskich, opatrzone podpisami. Cała gromada ludzi ściśnięta siedzi na takim wózku, a pstre kolory czapek lub wstążek u wysokich z małemi kresami kapeluszy kalabryjskich, kaftanów, szali, pasów i spodnic, tworzą jaskrawy, rażący obraz. Dwa dyszle wózka przymocowane są do uprzęży nie z boku lecz na grzbiecie konia, osła lub muła i biedne zwierzę nietylko musi ciągnąć lecz zarazem ciężarem swoim równoważyć obciążenie wózka.

Po przebyciu kilku stacyj zwęża się odstęp między morzem a górami, które tu tworzą od podnóży aż niemal do szczytów sztucznie podmurowane terasy, a na nich w pośród szeregów pałkowatych roślin, podobnych do kaktusów a wydających smaczne figi, ogrody warzywne i drzewa owocowe. Koło St. Stefano wielka fiumara, wciskająca się daleko w głąb lądu. Jest to obszerne, suche łożysko rzeczne, drobnymi kamieniami zapełnione, tworzące przy ujściu często na kilometr i więcej szeroką równinę kamienistą, białą, której jednostajność urozmaica kilka wyższych, zielonych wysp z ruinami jakichś budowli. Tylko po burzach i deszczach napełnia się fiumara wodą z szalonym pędem z gór biegnącą i wówczas wygląda jakby wielka zatoka aż do stóp gór w głębi lądu sięgająca, podobna do fiordów skandynawskich. Z powodu krótkości biegu i znacznego spadu, nie ma sposobu uregulowania tych łożysk, w które szczególniej obfituje północne i wschodnie wybrzeże Sycylii, gdyż tu grzbiety Madonii, Monti Nebrodi i Monti Peloritani w niewielkiem oddaleniu równolegle od morza się ciągną i wysyłają ku niemu stromo spadające, krótkie, boczne pasma.

Kolej żelazna przebywa fiumarę na długim silnie zbudowanym wiadukcie i pędzi dalej pod skalistemi ścianami gór, tuż nad brzegiem morza ciągle jeszcze olśniewającego wzrok blaskami słońca kąpiącymi się w gładkiej jego powierzchni.

Tylko już widać siny cypel Kalabryjskiego wybrzeża a za niem otwierają się bezmierne wód obszary. Kto zna przecudną Rivierę genueńską, tego uderzy dziwne podobieństwo tych okolic. I tu co chwilę zanurza się pociąg w ciemnej głębi tunelu przebitego w poprzecznem pasmie górskiem tworzącem ostry półwysep lub zbudowanego sztucznie dla ochrony przed zsypującą się ziemią i pędzi dalej wąską drogą w skale wykutą, okrążając małe, nadobne zatoki. Znowu wśród obszernej fiumary sączy się rzeczka wąskiem wężykowatem korytem a w dali po przeciwnej stronie na wyniosłej ostro wystrzelającej skale ruiny zamku jakiegoś duka, których tu tak wielu było i jest do dzisiaj, bo to ojczyzna włoskich duków i tu ich najwspanialsze posiadłości.

Santa Teresa Riva, stacya i miasto nad samem morzem na lewo. W oddali za morzem jeszcze widać wybrzeże włoskie i trochę śniegu pod skalistymi szczytami. Tu mija się nasz pociąg z drugim, dążącym w przeciwną stronę do Messyny. Wagony pełne podróżnych, ruch miejscowy wielki, zwłaszcza obecnie, w przededniu wyborów do parlamentu włoskiego. Mali chłopcy biegnąc wzdłuż pociągu, wykrzykują nazwy świeżo nadeszłych dzienników z Palermo, Neapolu i Rzymu; w *Giornale di Sicilia* znajduję telegramy z Messiny, donoszące, iż w ciągu ubiegłej nocy dały się uczuć dwa silne wstrząśnienia ziemi,—co do mnie, to wcale niczego nie uczułem i spałem wcale nie źle.

Po kilkuminutowym przestanku pociąg pędzi dalej, znowu przebywa liczne fiumary i długim tunelem przejeżdża pod piękną wyniosłą, dumnie nad morzem sterczącą skałą St. Alessio, na której się wznoszą doskonale zachowane ruiny opuszczonego zamku średniowiecznego z blankami i basztami. Góry tu bardzo strome piętrzą się jedne nad drugiemi i pozostawiają tylko wąski białym piaskiem pokryty pas wybrzeża a fale morskie dosięgają niemal szyn i kół pociągu. Jeszcze kilka tuneli i kilka małych dzikich wysepek skalistych w morzu i stajemy na stacyi Giardini di Taormina.

Tylko kilka godzin południowych między rannym a popołudniowym pociągiem pospiesznym dążącym w stronę Katanii i Syrakuz zatrzymałem się tutaj, ale wystarcza to zupełnie aby poznać ten uroczy zakątek ziemi i doznać niezapomnianych wrażeń.

Kilka samotnych domków na pustem zresztą wybrzeżu w pobliżu budynku stacyjnego nie wiem skąd zasługuje na nazwę „Giardini“, tj. ogrodów. Już kilkanaście kroków za domami wznosi się pionowo w górę niesłychanie wysoka i przepaścista skała otwierająca się tylko w jednem miejscu w kształcie wężowatego wąwozu bardzo stromego, którym prowadzi kamienista ścieżka dla pieszych wprost na górę. Aby jednak uniknąć niepotrzebnego zmęczenia, godzę jednego z natarczywie narzucających się vetturinów i parokonnym powozem wyjeżdżam w górę wyborną drogą, tworzącą śmiałe w owej skale nad morzem nad straszliwemi przepaściami wykute serpentyny. Mały, na pół nagi ragazzino Antonio, o kruczych włosach i zuchowatem wejrzeniu przyczepia się do powozu jako cicerone i obiecuje mię sprowadzić na dół potem w przeciągu 10 minut, na co się chętnie zgadzam, gdyż nieraz w ciągu podróży posługiwałem się z wielką korzyścią takimi chłopakami. Niezrównany wspaniały widok otwiera się na morze. W miarę coraz wyższego wznoszenia się w górę, powiększa się horyzont i odsłania dalsze części morza, na którego gładkiej, srebrzystej powierzchni ułożyły się wielkie półkoliste cienie, jaśniejsze i ciemniejsze, tworząc całą skalę barw niebieskich od srebrno-sinej aż do ciemno-granatowej. Środkiem w rozmaite strony ciągną się długie, wężowate, białe linie wąskie, jakby rzeki, rozgałęziające się w olbrzymią sieć wodną. Zresztą z wyjątkiem kilku łodzi przy samym brzegu, cała owa olbrzymia przestrzeń czysta i pusta w tej chwili — nie zamącona ani białym żaglem rybackiego statku, ani dymiącym kominem parowca — ma wyraz potężnego spokoju natury, który się tak majestatycznie rozsiadł na bezmiernem wód przestworzu.

Tem dziwniejszy i przerażający niemal kontrast stanowią spadziste góry wybrzeża, piętrzące się zuchwale jedna na drugiej coraz wyżej, coraz śmielej. Przypomniały mi się żywo nasze urocze Tatry, widziane od Obidowej lub z niziny Nowotarskiej. I tu te same groźne poszarpane grzbiety wprost z powierzchni morza wyrastają potężnie w górę, i tu skupiły się ciasno obok siebie tworząc gniazdo ostrych najeżonych szczytów, tylko bujna zieleń czepiająca się zboczy skalistych i białe domy osad ludzkich jakby gniazda ptasie zawieszonych w rozmaitej wysokości nad stromymi jak ściana stokami łagodzą nieco ów urok majestatycznej grozy, jaką w nas budzi niepokonana przez ludzi natura. W wysokości prawie 400 metrów wprost nad morzem, na niewielkim ściętym wierzchołku górskim mieści się ulubiona stacya klimatyczna Taormina, ale tuż u wjazdu do niej uderza groźny widok znacznie wyższych, piętrzących się nad nią grzbietów; na jednym z nich wysoko wystrzelająca w górę skała o przepaścistych bokach a ściętym szczycie, na którym zdumione oko spostrzega szereg murowanych domów: to niedostępna Mola, naturalna twierdza Sycylii, która nieraz w jej dziejach ważną odegrała rolę. Ale jeszcze nieco dalej w głąb kraju a zaledwie 3 kilometry od wybrzeża przewyższa wszystkie szczyty na 864 metrów wyniosły Monte Venere.

Nad łukiem bramy wjazdowej wita mię wyrzeźbiony w marmurze orzeł biały o skrzydłach rozpiętych, tak miła dla Polaka zjawisko. Ale to godny i odpowiedni herb tej górskiej osady, jak gniazdo orle zawieszonej wysoko i orlim prawdziwie wzrokiem dozwalającej przejrzeć ogromne morza i lądu obszary. Wśród schludnych domków jedziemy wąską ulicą ale czystą i cichą, po chwili skręcamy w bok na lewo i stajemy pod bramą z napisem: „Ingresso del antico teatro“.

Pod wysokiem łukowem sklepieniem z czerwonej cegły, wchodzimy wprost do wnętrza najlepiej zachowanego teatru starożytności. Odnosi się to szczególniej do części, w której się wznosi budynek sceny tak zwany u Greków „logeion“ albo „skene“ z tylnemi i bocznemi ścianami, które i tu wprawdzie ząb czasu przerwał w dwóch miejscach, ale pozostałe części pozwalają bez wielkiego natężenia fantazyi odtworzyć w duszy dawne wspaniałe kształty. Przed tylną ścianą sceny na podmurowaniu stoją słupy doryckie, z których dwa tylko jeszcze na górze połączone architrawem. Między nimi w murze ściennym zagłębienia; to widocznie nisze, w których ustawiano posągi. Dwoje drzwi bocznych w tylnej ścianie utrzymało się jeszcze dobrze, ale najlepiej boczne ściany i przylegające do nich zabudowania piętrowe. W tych wysokich starożytnych murach są po obu stronach sceny wielkie łukowe wejścia; tędy wchodziły uroczyste pochody lub chóry, ile razy akcya dramatyczna wymagała wspólnego z aktorami działania. W przedłużeniu tych ścian bocznych, w miejscu łączącem scenę z półkolistą widownią, znajdują się po obu stronach inne dwa wejścia również sklepione; to są „parodoi“, t. j. wejścia do owego koła równego u stóp najniższej ławy t. j. „orkiestry“. Tędy wchodziły chóry starożytne i ustawiały się dokoła ołtarza Dyonizosa t. zw. „tymele“, z czego jednak dziś śladu nie zostało. Dalej zwróciło moją uwagę „proskenion“ więcej jak na metr ponad poziom orkiestry wystające i dziś zupełnie odkryte. Właściwie są to jednak tylko fundamenta dawnej sceny. Cztery kwadratowe otwory w podłodze tuż na samym przodzie pokryte dziś czerwonemi płytami ceglanemi prowadzą do podziemnych sklepionych przejść pod sceną, jednego idącego w poprzek i drugiego przecinającego się w samym środku podłużnie. To były tak zwane „schody Charonowe“, którędy wychodziły na scenę duchy zmarłych i demony Hadesu. Znać jeszcze na wierzchu sklepienie wystające po nad dzisiejszy poziom sceny całej, zresztą trawą na gruzach zarosłej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

wego banku hipotecznego w Warszawie. Otóż teraz, projekt ten zamienia się w czyn i instytucya taka powołana zostanie w najbliższym czasie do życia. Działalność tego banku ma być rozwinięta głównie na te miasta, które nie posiadają towarzystw kredytowych i jedynie dla braku takiego kredytu nie mogą się należycie rozwijać. W samej Warszawie bank ten będzie rywalizował z Towarzystwem kredytowem miejskiem. Koncesya na ten bank hipoteczny już udzielona została, a daje ona prawo emisyi własnych listów zastawnych, tutejsze jednak sfery rolnicze z pewnem zdziwieniem dowiedziały się o tem, że powstający bank hipoteczny wcale rolnikom udzielać kredytu nie będzie, a w naszych stosunkach ekonomicznych tani kredyt dla ziemian jest najpotrzebniejszy.

Dorocznym zwyczajem, gdy nastąpił post, rozpoczął się szereg publicznych odczytów na dochód towarzystwa osad rolnych. Zapowiedziane są tedy prelekcye pp. Antoniego Pileckiego, Stanisława Bełzy, Aleksandra Kraushara, Henryka Nussbauma i Kazimierza Danilowicza-Strzelbickiego.

W tych dniach zmarła w naszem mieście ś. p. Adela hrabianka Łubieńska, przeżywszy lat 90. Nieboszczka przed laty pisywała utwory i artykuły do różnych dzienników, a nadto swoim nakładem wydała opis Buska i okolicy. Ś. p. hrabianka Adela, była rodzoną siostrą hr. Leona Łubieńskiego, jednego z najczynniejszych założycieli „Biblioteki Warszawskiej."

Ambroży Thomas.

W ubiegłym tygodniu umarł w Paryżu twórca „Mignony" i „Hamleta". Żył długo; napisał dużo oper i, schodząc ze świata, należał do grona nieśmiertelnych... w Akademii.

Czy znajdzie wśród nich miejsce w historyi muzyki?

Życie powinno było dać Thomas'owi odpowiedź na to pytanie. Przez osiemdziesiąt pięć lat widział wschód i gaśnięcie tylu gwiazd na wszelkich dziedzinach ludzkiego horyzontach, od Napoleona począwszy, a do... Mascagni'ego; jako długoletni dyrektor konserwatoryum paryskiego, wysłuchał tylu obietnic, które się nie ziściły, że mógł sceptycznie spoglądać nawet na tysiączne w roku 1894 przedstawienie własnego utworu, uznanego przez Francyę akademicką za arcydzieło.

Z powodu tej jubileuszowej przed dwoma laty reprezentacyi „Mignony", powiedział ktoś o Thomasie słowo, które byłoby głębokiem, gdyby nie to, że jest tylko na pół prawdziwem. „Dlaczego, mogąc być Wiktorem Hugo, pisał wtedy Ludwik Ulbach w *Temps*, Thomas jest tylko Kazimierzem Delavigne?"

Dedukcya, — jak się rzekło, — nie zawiera całej prawdy; niestety bowiem, że Thomas nie mógł być Wiktorem Hugo w muzyce (Verdi go w tem wyprzedził), ale jest wielkie pytanie: czy miał w niej kwalifikacye na Kazimierza Delavigne?

W szeregu czterech nazwisk, streszczających epokę świetności opery komicznej francuskiej, obok twórców „Białej damy", „Zampy", „Czarnego Domina" i „Niemej z Portici", stawiają zwykle, jako piąte w rzędzie nazwisko Ambrożego Thomas'a. Jakkolwiek w twórczości autora „Psyche" napróżno szukałoby się wdzięku Boildieu'go, prostoty Herolda, elegancyi Adama i dowcipu Aubera, można jednak zgodzić się na „Kadego" — nie na takie zestawienie. Pisząc ten sprytny akcik, Thomas naśladuje dobrze francuskie rococo, zgrabnie robi pastisze i stylu wieków operoperty komicznej. Od chwili, kiedy zmierzył się z kreacyami Goethe'go, Shakespeare'a, łatwiej posadzić go w fotelu pod kopułą pałacu Mazarin'a, aniżeli znaleźć mu miejsce w panteonie wielkich artystów. Tu dopiero okazuje się, że dla Thomas'a należy odwrócić znany aforyzm francuski i powiedzieć: gdyby młodość mogła, gdyby starość wiedziała!

Ze męskiej siły twórczej nie posiadał Thomas, nawet w tej dobie życia, która zwykle gromadzi, skupia i wydobywa wszystkie energie, dowodzi metyklo stosunek, w jakim stanął do otoczenia wielkich twórców poezyi, ale nie mocy okazana tam nawet, gdzie czterej współcześni mu mistrze zdobywali się na prawdziwą potęgę dramatyczną. W cudnej historyi Mignony, w nieśmiertelnej tragedyi królewicza duńskiego, Thomas znalazł przedmiot tylko do opery komicznej i do melodramatu, co nie da się zwalić na barki librecistów; młodszy bowiem od Thomas'a o lat kilka Gounod do tekstów bynajmniej nie lepszych skomponował dwie opery: „Fausta", który może być, jak ktoś wyraził, „chybionem arcydziełem", ale zostawia w literaturze muzycznej postać Małgosi, — i „Romea i Julię", parę niezbyt daleko stojącą od Shakespeare'owskich kochanków.

Jedyną okolicznością łagodzącą dla młodości Thomas'a, która nie mogła, była chyba starość jego, która nie wiedziała. Nie chodzi tu naturalnie o wiedzę techniczną — tę posiadał Thomas tak gruntownie, że aż często przeszkadzała. „Jeżeli mistrzem ma być autor „Mignony" — w znaczeniu profesorskiem, — odezwał się o nim niegdyś Lassalle. Partycya jego pozbawiona wymowy, jest rozpaczliwie poprawna; poprawność dławi w niej myśli". A Teofil Gautier dodał do tych słów swój komentarz: „Thomas należy do świata, gdzie wszyscy mniemają, że chcąc stworzyć dzieło muzyczne, dość jest być uczonym, znać wszystkie tajemnice harmonii i instrumentacyi; gdzie nikt nie chce zrozumieć, że prawdziwy muzyk musi być najprzód człowiekiem w najszerszem i najszlachetniejszem znaczeniu tego słowa". Zastrzegając się zresztą, że, pisząc to, Gautier nie myślał o charakterze prywatnym Thomas'a, który był nieposzlakowany, lecz człowiek w swoim pojęciu ideałów poetycznych i artystycznych, zaznaczał że miał przeciw sobie znacznie duszy takiego człowieka — Wagnera.

— Wagner! — mówił Thomas o twórcy Tetralogii, — korzę się przed nim. To niewątpliwie wielki umysł i wielki muzyk. Ale szatanowska teatralnego — cóż to są te wszystkie jego poemata? Fantasmagorya!

Poemat traktowany jak fantasmagorya, ugasany z szatanowska „teatralnego" — w tem streszczeniu tkwi właśnie ów profesor, w którym Gautier nie znajduje człowieka, t. j. poety, — bo w autorze „Kapitana Fracasse" człowiek zaczynał się zawsze od poety.

I nie był istotnie Thomas poetą zdolnym pojąć i odczuć Goethe'go, Shakespeare'a, tak, jak go Francuzi zaczynają odczuwać i rozumieć od niedawna. Czasy, kiedy Sardou mógł nazwać „Hamleta" sztuką idyotyczną, a poważny krytyk „Przeglądu dwóch światów" widzieć w „Makbecie" tylko *un mélo*, mijają niewątpliwie; studya nad dwoma największymi geniuszami poetyckimi pogłębiają się we Francyi z każdym dniem, ale Thomas już się był pośpieszył ze swoją chromolitografią arcydzieł, nie domyślając się nawet jaki materyał znaleźć w nich może muzyka do potężnych obrazów; umarł i, obcując tak niby blisko z Hamletem, z Mignoną, do śmierci nie wiedział, kto był Shakespeare, kto był Goethe.

Pod tym względem byłoby w nim może więcej pokrewieństwa z Ducis'em niż z Kazimierzem Delavigne, gdyby nie romantyzm, rzucający niekiedy barwniejsze światło na słodkawy rysunek figur, przystosowanych do „scenicznych" konwencyonalizmów opery.

Pośrednictwo romantyzmu najbardziej uderza w „Mignon". Jest to właściwie ilustracya muzyczna nie do Wilhelma Meistra lecz do malowidła Ary Scheffer'a. Ta sama sztuczna poza w marzycielstwie cygańskiej wychowanki; ta sama chorobliwa nieco bladość kolorytu całej postaci, te same ocieniające ją lekkie mgły tajemniczości, które pp. Barbier i Carré po to tylko przy końcu rozsnuwają w wierszach à la Ducis przykrojonych, żeby Mignon, jak prawdziwa heroina opery komicznej, zaślubiła Wilhelma, żeby w kraju „gdzie cytryna dojrzewa" podano im pomarańcze na weselnym półmisku przy dźwiękach szablonowej tarantelli. Z jakiem oburzeniem przewrócić się musiał w grobie na ten epilog Schumann, który z taką miłością tworzył do Wilhelma Meistra muzykę, zakończoną natchnionem *Requiem* na śmierć Mignony; co na to powiedział Beethoven, ilustrujący *Lehrjahre*, Schubert, szukający w historyi wędrownej tancerki materyału do pieśni, nawet Rubinstein, który dzieje tajemniczej dziewczyny zawarł w trzynastu fragmentach, również żałobnemi zamkniętych pieniami!

Jest jednak światełko poezyi opromieniające nikłą sylwetkę Mignony Thomas'a: romans *Connais-tu le pays?* Odzywa się w nim szczere uczucie pogłębione nieokreśloną melancholią, rozszerzone jakby proroczemi jakiemiś widzeniami. Ale i na tym gruncie spotkał się Thomas ze współzawodnikiem tam, gdzie, jak mówił Kraszewski, „dojrzewają piołuny". Był tym rywalem Moniuszko, który ze swojem „Znasz-li ten kraj" jeden, jedyny stanął na wysokości Goethego.

Ma i Ofelia Thomas'a swoją pieśń charakterystyczną. Wyśpiewał ją komentator muzyczny Shakespeare'a z motywów skandynawskich i około niej osnuł scenę śmierci Poloniuszowej córy. I pieśń i scena są bardzo ładne, nietylko same w sobie, lecz w stosunku do Mignony, bo od niej szczęśliwie odróżniają bohaterkę, którą mógł Thomas wydać także za Hamleta, skoro nagrodził królewicza duńskiego za ojcobójstwo tronem Danii. Ten zgon Ofelii w falach, wśród sitowia, z ludową na ustach piosenką, ocalił ją od śmieszności baletowych efektów a może i wyratował operę!

Dwie pieśni śpiewane przez dwie dziewczyny, jako całkowity plon kilkudziesięcioletnich mozołów — to dorobek niewielki, ale znamienny. Było w tem komponowaniu coś dziwnie niewieściego; z sentymentalnych uścisków uosobionej w Thomas'ie rutyny operowej z najpotężniejszymi twórcami nie urodziło się żadne potomstwo; i ten akademik, ze swoją elegancką poprawnością miał w sobie dużo podobieństwa do niepłodnej kobiety, która się gustownie umie ubierać. Dzieci nie miała — zostały po niej tylko.... romanse.

Z izby sądowej.

Lwów 25 lutego.

(*Rabunek*).

Przed sądem przysięgłych stawali wczoraj bracia parobcy z Moszczanicy Michał Nieckarz, liczący lat 26 i Szymon Nieckarz lat 21, obaj oskarżeni o zbrodnię rabunku, popełnioną na Józefie Sobolu, żydzie z Rosyi.

Józef Sobol, kupiec z Rosyi przekradł się przez granicę a po załatwieniu sprawunków pragnąc powrócić do domu, szukał przewodnika, któryby go przez granicę przeprowadził. W tym celu udał się do karczmy Königa w Moszczanicy, gdzie zastał Michała Nieckarza, który podjął się przeprowadzić go przez granicę za opłatą 60 ct. Ponieważ Nieckarz był już kilkakrotnie karanym za kradzież, König poradził Sobolowi zostawić rzeczy w karczmie, a wziąć z sobą tylko to, co niezbędne. Około 12 w nocy, wyruszyli z karczmy, a Michał Nieckarz doprowadziwszy Sobola do lasu, kazał mu czekać, gdyż jak twierdził: „musi iść się przebrać, aby go objeszczyki nie poznali". Powrócił za chwilę ale już w towarzystwie młodszego brata swego Szymona i obaj natychmiast rzucili się na Sobola bijąc go, dopokąd nie stracił przytomności, poczem go ograbili, zabierając mu pugilares z kwotą 80 zł., scyzoryk i inne drobiazgi, które następnie znalazł w ich domu żandarm przy odbytej rewizyi.

Oskarżeni wypierają się winy. Szymon Nieckarz twierdzi, że owej nocy nie wychodził z domu i powołuje się na świadectwo matki, która jednak usunęła się od zeznań, Michał Nieckarz zaś opowiada, że oddaliwszy się od Sobola, usłyszał krzyki, a myśląc, że to objeszczyki chwycili Sobola, uciekł ze strachu, a rzeczy znalezione u niego, znalazł na drugi dzień rano w miejscu, gdzie zostawił Sobola.

Przysięgli jednogłośnie potwierdzili pytania dotyczące zbrodni rabunku i kradzieży popełnionej przez Michała Nieckarza, skutkiem czego trybunał skazał Michała na 10 lat ciężkiego więzienia, Szymona zaś uwolnił.

* * *

Lwów, 27 lutego.

(*Krzywoprzysięstwo*).

Donieśliśmy niedawno w „Kronice" o krzywoprzysięstwie popełnionem przez Izraela Lejba Hebera, który chcąc w biurze konskrypcyjnem magistratu zdobyć metryki dla dwóch sług żydowskich, złożył fałszywą przysięgę. Wczoraj stawał on przed trzecią sekcyą sądu powiatowego i skazany został na miesiąc ścisłego aresztu obostrzonego ciemnicą.

* * *

Tarnopol, 25 lutego.

(*Skrytobójcze morderstwo*).

Przed ławą przysięgłych odbyła się dziś rozprawa przeciw 20-letniemu Józefowi Mełymukowi chłopowi z Gusztyna o skrytobójcze morderstwo popełnione na Tymku Traczu, oraz o zbrodnię oszczerstwa popełnioną na Antonim Pechajce. Z przeprowadzonej rozprawy wynika, że Mełymuk zamordował Tracza w nocy z 1go na 2go czerwca ubiegłego roku, a to wymierzywszy mu kilka uderzeń w głowę kołem z płotu. Powód do zbrodni dała długotrwała nienawiść między nimi panująca, bezpośrednią zaś przyczyną był spór. Oskarżony przyznaje się, usprawiedliwia się jednak tem, iż nie miał zamiaru Tracza zabić, chciał go tylko, mszcząc się za uderzenia w karczmie odniesione, obić. Przysięgli zaprzeczyli pierwsze pytanie w kierunku morderstwa, potwierdzili zaś drugie w kierunku zabójstwa i trzecie odnoszące się do oszczerstwa popełnionego na Pechajce, na którego swą winę chciał zwalić. Winny skazany został na 4 lata ciężkiego więzienia.

* * *

Stanisławów 25 lutego.

(*Rabini przed sądem*).

W dalszym ciągu rozprawy przesłuchano świadka Izaaka Platzkera, który zeznaje, że był z Neumannem u rabina Ellbogena w Tłustem. Rabin przyrzekł Neumannowi dać świadectwo pisemne, że drożdże z fabryki lisowieckiej są koszerne i że Neumann nie potrzebuje sporządzać „starmahiry". Następny świadek, były kasyer Liebermanna, Eliasz Eigenfeld, zeznaje, że z polecenia Liebermanna chodził do rabina stanisławowskiego po zakaz na drożdże Orłowskiego; ale rabin zakazu wydać nie chciał, dopóki Liebermann i Goldfeld nie przedłożą mu zakazu wydanego przez rabina w Tyśmienicy. Rabin dodał, że Goldfeld i Liebermann byli już u niego i że on im już to samo powiedział. Goldfeld posłał wobec tego do rabina tyśmienickiego po zakaz, a rabin stanisławowski dopiero po przeczytaniu pisma swego kolegi wydał zakaz od siebie. Pisma obu rabinów doręczył świadek Meiselsowi, który je dał drukować, chociaż rabin stanisławowski nie życzył sobie drukowania swego zakazu. Zakazy drukowane kazał Liebermann wkładać do każdej skrzynki drożdży wysyłanej z jego fabryki. Liebermann przeczy w zupełności zeznaniom Eigenfelda i powiada, że Eigenfeld działał w tym wypadku na własną rękę, ze zbytku gorliwości.

Świadek Mojżesz Gersten dowiedział się od Meiselsa o całej historyi zakazów i doniósł o tem Orłowskiemu i Neumannowi. Neumann, otrzymawszy list, udał się ze świadkiem do rabina stanisławowskiego, który — po rozmowie z Neumannem — zakaz swój odwołał.

Świadek Meiseles odpowiada, że z końcem świąt Wielkanocnych zawołał go rabin stanisławowski do siebie i pytał się, czy ma drożdże lisowieckie, a na twierdzącą odpowiedź, oświadczył mu, że drożdży tych nie wolno używać, bo żyd Neumann, wspólnik fabryki, nie sporządził „*starmahiry*". Świadek prosił rabina o piśmienne poświadczenie, któórem mógłby się zasłonić wobec „kundmanów" poszukujących drożdży lisowieckich. Rabin odmówił jednakowoż, skutkiem czego świadek znalazł się w bardzo przykrem położeniu. Na ulicy spotkał Liebermana, któremu opowiedział wszystko i skarżył się na swój kłopot. Lieberman uspokoił go i przyrzekł wystarać się o piśmienny zakaz i dostarczyć mu swoich drożdży. Na drugi dzień przyniósł mu Eigenfeld z polecenia Liebermana zakazy do wydrukowania. Poszedł z tem do drukarni i zamówił 500 egzemplarzy, które rozdawał pomiędzy swoich odbiorców; ztamtąd wziął także kilkanaście lub kilkadziesiąt egzemplarzy. Na trzeci dzień przyszedł Neuman, dał Meiselesowi odwołanie rabinów, które świadek dał drukować i rozesłał między „kundmanów"; niektórzy uwierzyli, inni nie kupowali już więcej drożdży lisowieckich. Zeznaje dalej, że mu sam Neuman opowiadał, że jest wspólnikiem Orłowskiego.

Henryk Katzenellenbogen, dyrektor fabryki maszyn Bretta w Ottynii, na którego się rabin tyśmienicki w swym zakazie powołał, pośredniczył w zawarciu kontraktu między Neumannem a Orłowskim i uważał stosunek między nimi zawsze za służbowy. Co do odwołania się na niego, był tem oburzony, nigdy z nikim o tem nie mówił, jak tylko z Filipem Herzem, dyrektorem fabryki Goldfelda i Regenstreifa, któremu opowiedział o stosunku Neumanna i Orłowskiego. Napisał też to do Neumana i pozwolił mu zrobić z tego użytek. Zeznania następnych świadków nie przedstawiają nic ciekawego.

Po przesłuchaniu tego świadka jako ostatniego przystąpiono do odczytania opinii rabinatu wiedeńskiego. Trybunał przedtem ogłosił, iż postanowił odrzucić wniosek obrony o zawezwanie dr. Caro ze Lwowa, jako rzeczoznawcy.

Rozprawa trwa dalej.

Stanisławów 27 lutego. Rabini i Goldfeld uwolnieni, Liebermann skazany na rok ciężkiego więzienia z jednorazowym postem tygodniowo.

* * *

Kraków 26 lutego.

(*Oszustwo*.)

Przed ławą przysięgłych rozpoczęła się rozprawa przeciw Chaimowi Hersteinowi (lat 41) i Saulowi Silbersteinowi (lat 33) z Krakowa o zbrodnię oszustwa. Chaim Herstein namówił Joachima Birnbauma do otwarcia fabryki obuwia w Krakowie i wstąpił następnie jako kierownik do tego interesu, prowadził jednak fabrykę nieprawidłowo, lekkomyślnie, a wkońcu opuścił przedsiębiorstwo i pomimo wezwań właściciela do niego już nie powrócił. Atoli przed secesyą skradł blankiet wekslowy z podpisem Joachima Birnbauma i wypełniwszy go na kwotę 8000 zł., sprzedał pozornie Saulowi Silbersteinowi, który następnie domagał się od Birnbauma wypłaty tej kwoty.

Chaim Herstein tłómaczy się, iż był cichym wspólnikiem Joachima Birnbauma, który usunął go umyślnie z interesu, aby dla siebie wyłącznie zyski zagarniać. Wskutek tego miał oskarżony do Joachima Birnbauma pretensye, wynoszące 20.000 do 30.000 zł. Część tych pretensyi pragnął odzyskać i dlatego na otrzymanym od Birnbauma blankiecie, zabezpieczającym możliwe pretensye obwinionego, wypisał kwotę 8.000 złr. i weksel rzeczywiście a nic pozornie zeskontowali; reszty pretensyi miał dochodzić w drodze sądowej.

Rozprawa potrwa 3 dni.

KRONIKA.

Lwów 27 lutego.

Wybory do Rady miejskiej. Jak świadczy niżej podany rezultat akcyi wyborczej, walka o krzesła radzieckie w naszem mieście, prowadzoną była, w porównaniu z ostatnimi laty, z większą zaciętością, stanęło bowiem do urny wyborczej na 8.000 obywateli uprawnionych do głosowania 5 086; a więc liczba bardzo znaczna. Mimo jednak wielkiej stosunkowo agitacyi, żadna z list wyborczych nie otrzymała sama bezwzględnej większości t. j. 2543 głosów. Rezultat bowiem przedstawia się następująco: Na listę komitetów połączonych, miejskiego, mieszczańskiego i katolickiego padło głosów 2.139, na listę komitetu powszechnego 1.118, chrześcijańskiego 673, realnościowego 518, obywatelską 194, komitetu centralnego 121, komitetu ruskiego 184, tak zwanego czterdziestu czterech 29, wreszcie na inne listy 108.

W obec powyższego rezultatu, ci tylko kandydaci, których nazwiska umieszczono albo na liście komitetów zjednoczonych a równocześnie komitetu powszechnego lub chrześcijańskiego uzyskali absolutną większość. Kandydatów zaś takich jest 77, a zatem na 24 mandatów będą rozpisane ściślejsze, uzupełniające wybory z pomiędzy tych wyborców, którzy poniżej absolutnej większości otrzymali jednak największą ilość głosów.

Gdyby jednak ani 75 kandydatów nie uzyskało absolutnej większości, musiałyby obecne wybory być unieważnionymi w myśl postanowień statutu miasta, a nowe rozpisane, do czego jednak, zdaje się, nie przyjdzie.

Stanowczo zachwiane są mandaty radnych: Baczewskiego, Bardascha, Blumenfelda, Gotlieba, Kędzierskiego, Langa, Machayskiego, Mayera, Mozera, Podłowskiego, Roszkowskiego, Sawczaka, Syroczyńskiego, Kordysa, Niemczynowskiego i Jonasza.

Charakterystycznem jest jednak, że w sali V wyborców, to jest gdzie głosowano z tytułu osobistej kwalifikacyi lub z mocy piastowanych urzędów, największą ilość głosów uzyskała lista chrześcijańska czyli antysemicka.

Trudno nie wspomnieć o walce plakatowej, która wrzała na rynku od rana. „Wyborcy! Współobywatele! Nie dajmy się! Precz z macherami! Precz z oszustami! Precz z inteligentnikami! Precz ze starą radą! Precz z Niemczynowskim!" oto drobna próbka wykrzykników. Styl zaś tych odezw nie grzeszył wcale wykwintnością: „Machery", „klika", „głowy od parady", „hyeny", „tygrysy", przymiotniki w guście „durny", „tamowaty" i t. p. ze słownika łyczakowskiego zdobiły treść przeważnej liczby plakatów.

Z niemałem powodzeniem zadebiutował wczoraj w roli humorysty p. Kurkowski, właściciel zakładu pogrzebowego. Że najsmutniejszy nawet zawód nie jest w stanie popsuć wrodzonego humoru, dowodem tego manifest p. Kurkowskiego, który bez ogródek oświadcza, że za mandat radnego zapłaci 2.000 koron na fundusz ubogich. Jeśliby przykład p. Kurkowskiego znalazł naśladowców, opłaciłoby się przynajmniej raz na rok rozpisywać wybory do rady miejskiej; fundusz ubogich zyskałby na nich co najmniej 200.000 koron rocznie...

Ze smutkiem wreszcie każdy bezstronnie ruchowi się przyglądający, skonstatować musi ową gwarę uliczna, ów wstrętny styl plakatów, zapożyczony ze szpalt organów służących ideom wywrotowym i awanturom wszelkiego rodzaju.

Minister handlu potwierdził wybór p. Zdzisława Marchwickiego prezesem, a p. Jakóba Piepesa wiceprezesem Izby handlowej we Lwowie na rok 1896.

Koncert na rzecz centowej herbaciarni odbędzie się w niedzielę dnia 1go marca. W koncercie wezmą udział pp. Dąbrowska, Czaplińska, Borkowski, Pollak i Feldmann, oraz chór męzki Towarz. „Lutni".

Na wystawie Tow. sztuk pięknych znajduje się od dni kilku portret panny G., wykonany bardzo udatnie przez p. Tadeusza Kruszewskiego. Młody artysta, który oprócz portretów — zwłaszcza kobiecych — poświęcił się malarstwu religijnemu, rokuje jak najlepszą przyszłość.

Stypendya. Magistrat lwowski ogłasza konkurs na dwadzieścia dwa stypendya po 150 złr. rocznie z fundacyi stypendyjnej śp. Feliksa Szumlańskiego. O stypendya te mogą ubiegać się wyłącznie ubodzy uczniowie szkół gimnazyalnych i szkoły realnej we Lwowie, wyznający religię katolicką. Podania należy wnosić za pośrednictwem dyrekcyi szkoły do magistratu miasta Lwowa do 15 marca br.

W pasażu Hausmana, w domu zbudowanym dopiero przed rokiem, zawalił się onegdaj sufit nad lokalem drukarni polskiej. Vivat urząd budowniczy!

Aresztowano we Lwowie ajenta emigracyjnego Lwa Turbackiego. Jest to już trzeci z rzędu ajent emigracyjny, aresztowany przez policyę lwowską.

Rada miasta Lwowa odbyła we wtorek posiedzenie, na którem po odczytaniu pisma wydziału Sokoła lwowskiego, zbijającego zarzuty podniesione przez r. Niemczynowskiego przeciw r. Dziędzielewiczowi, dokonano wyborów uzupełniających do komisyi skrutacyjnej, oraz powzięto drugą uchwałę w sprawie częściowej emisyi 10 milionowej pożyczki. Wobec tego emisya obligacyi na 4,079.100 zł., jako pierwszej części pożyczki, przyjdzie do skutku.

Konkursa. *Gazeta Lwowska* zamieszcza cały szereg konkursów na posady nauczycielskie w szkołach ludowych. Izba notaryalna we Lwowie rozpisuje konkurs na posadę notaryusza w Kałuszu.

Pojedynek. Onegdaj odbył się we Lwowie pojedynek na pistolety pomiędzy kadetem strzelców G. a porucznikiem B. Ostatni lekko ranny. Powodem miała być sprzeczka wywołana na jednym z ostatnich balów.

Nieszczęśliwy wypadek i samobójstwo. Czterech robotników zatrudnionych przy regulowaniu toru na przestrzeni pomiędzy stacyami Rodatycze i Sądowa Wisznia dostało się wskutek własnej nieostrożności pod koła pociągu pospiesznego Nr. 6 dnia 25 b. m. Dwóch z nich na miejscu zabitych zostało, dwaj zaś inni odnieśli ciężkie bardzo skaleczenie. Maszynista tego pociągu, Jan Heidner, na którym żadna wina nie cięży, tak żywo przejął się jednak wypadkiem tym, że wpadł w stan nadzwyczajnego rozdrażnienia i nazajutrz sam rzucił się pod koła pędzącego pociągu pośpiesznego między Medyką a Przemyślem, gdzie też na miejscu śmierć znalazł.

Z Tarnopola nam donoszą: Wybór burmistrza nastąpi już dnia 2 marca. Przypuszczają, że opróżniony przez śp. Pohoreckiego fotel zajmie dotychczasowy zastępca p. dr. W. Łuczakowski. Zastępcą zaś wybiorą zapewne p. L. Puntscherta.

Rekolekcye. U Sióstr Nazaretanek rozpoczną się rekolekcye dnia 9-go marca. Nauki miewać będzie W. O. Adamski T. J.

Zmarli. Z Orlikowskich Drzewieckich Apolonia Hausner wdowa po adjunkcie sądowym we Lwowie Ks. Jeremiasz Kozłowski proboszcz z Chliwczan. Marya Hroboni, żona obywatela m. Lwowa w 30 roku życia. Teresa Szayerówna córka radzcy budownictwa w 22 roku życia we Lwowie.

Stan powietrza. T. o 9 rano — 6° R., w poł. — 2° R. Bar. 765. Spada. Pochmurno.

Szarada. W nrze 46 *Przeglądu* z dnia 25 b m. podaliśmy francuską szaradę, ułożoną przez jedną z pań towarzystwa lwowskiego. Szarada ta opiewała w przekładzie: Pierwsze jest to co elegantka nosi jedwabnego; drugie to co szwaczka nosi na palcu; trzecie to co ptaszę uwija pod dachem, a wszystko znakomity mąż stanu. A rozwiązanie jest następujące: *bas* (pończocha), *dé* (naparstek), *nid* (gniazdo) = *Badeni*. Zapowiedzieliśmy, że podamy jedynie nazwiska pierwszych dwudziestu osób, które nadeszlą dobre rozwiązanie; tymczasem otrzymaliśmy rozwiązania przeważnie pocztą, a więc wszystkie razem, wskutek tego musimy — chcąc zachować bezstronność — wszystkie je podać.

Ze Lwowa nadesłali dobre rozwiązanie:

Michalina Białaczewska, Jadwiga Maxymowicz, Wanda Namysłowska, A. Filippi, Alojza Mielecka, Józef Czaykowski, Emma Obermann, Maryla Wex, Elsa Bełkowska, Celina Dominikowska, Andrzejowska, Wanda Zgorlakiewiczowa, Rozalia Pressen, Aurora Łopata, Róża Mniszek, Adam Kostka, Szulakiewicz, Henryka Marossanyi, Marya Mosing, Eugenia Kossowska, Klementyna Stern[illegible]ciszek Kratochwil, Jadwiga Osiecka, [illegible] Jan Łopatyński, Marya Schillerowa, Tadeusz Jordan, Franciszka Bernstein, Basia Deskur, Aniela Paszkudzka, Marya Czerkawska, Józef Kropiwnicki, Adam Zygmunt Kołaczkowski, Zenon Mikuliński, H. Herman, Marya Sieradzka, Zofia Czerkawska, Damazowa Kotowska, Natalia Dydacka, Wanda Melchertówna, ks. dr. Jan Wilkicki, Stróżecka, Stanisław Pini, Henryka Krzeczunowicz, Marya Lityńska, Marya Finklówna, Aleksandra Błażejowska, W. Wolski, Olga i Wioleta Towarnickie, Adela Burzyńska, O. Norbert Golichowski, M. Bylczyński, Marya Smagowicz, Zofia Blada, Ludwika z Hawlów Hawelsburg Tarnawska, z Poradowskich Czermińska, Olga Ludkiewicz, Władysław Sobański, Saturnin Dydacki, Edmund Uderski, H. Talko, Władysław Filipowski, dr. Antoni Kalita, Wikisch Janek, Micka Linowska, Irena hr. Starzeńska, Eugenia Wrześniowska, Marya Kalina, Marya Trzecieska, Ewelina Trzcińska, dr. Edward Sumper, Aleksandra Skowrońska, Michalina z Wiktorowa, Józef Dworski. Sympatyczny nasz poeta Władysław Bełza przysłał rozwiązanie w następującym wierszyku:

Choć ten, którego imię szarada ukrywa,
Pończoszek ni naparstka nigdy nie używa,
Lecz gniazdo swoje ściele na dziejów przestrzeni,
A imię męża stanu: Kazimierz Badeni.

Z prowincyi nadesłali:

Zygmunt Reinsperger z Czernichowiec, Jadwigi Boguszowa z Rzochowa, Tadeuszowa Cybulska z Humnisk, Michalina Kraft ze Stryja. Muszka Kobylańska z Sopowa. Henryka Chabran z Wiednia. Feliksa Kaflińska z Kamionki Str. M. Skrzyszowska z Żydaczowa. N. Krówczyńska z Kamionki Strumiłowej. Ks. Tomasz Górski z Oleska. Mikułowa z Kołomyi. Wanda Sieczyńska z Przemyśla. K. Stojałowska z Petranki. Edward Melchert z Gródka. Amalia Grünhaut z Sanoka. Piętkowa z Żydaczowa. Malwina Głowińska z Jarosławia. Dr. Czerski z Toporowa. Kamińskie z Żółtaniec. Aurelia Eminowiczowa z Pilzna. Dr. Brandt z Mielca. Stefan Czaykowski z Przemyśla. Ernestyna Mieses z Przemyśla. W. Uznański z Nowego Sącza. Jadwiga Wojtalewicz z Pustkowa. J. Wróbel z Sędziszowa. Wanda Uranowicz ze Złoczowa. Emma Palmarin ze Stanisławowa. Marya Ilnicka z Brodów. Amalia Löwenherz z Tarnopola. Olga Łopuszyńska z Chyrowa. Józefa Perfecka z Kołomyi. M. Dobrucka ze Stanisławowa. Karolina Gleitzman z Gródka. Stanisława Łukasiewiczówna ze Stanisławowa. Juda Kohn ze Stecowej. Henryk Gruszecki z Krosna. Sława Newestiuk z Mostów G. Łempicka z Kamionki Str. Zofia Wróblewska. Langner z Przemyśla. Józef Sękowski z Brzeźnicy. Tadeusz Spytek Ligęza z Mirocina. Józef Stankiewicz z Bachorca. Marya Hoszowska z Nowego Sącza. Henryka Zadurowicz z Łopuszanki. Kr. Kmicikiewiczowa z Mościsk. Marya Grabowska ze Złoczowa. Justyna Jendlowa z Grybowa. Amelia Ryszkowska z Bochni. A. Gorayska z Umieszcza. M. Biernacki ze Stanisławowa. Stefania Drzewiecka z Monasterzysk. J. Kozłowska z Lipy. E. Kuryłowicz z Rawy. M. Olszewska z Żółkwi. Stefania Sawczyńska z Bolechowa. Paulina Pellich z Koropca. Minia Goldberg z Grzymałowa. Adela Kiernikówna ze Stratyna. Wilhelmina Textoris-Strzeżeniecka, Zofia Ligęzina i Jadwiga Ligęzianka z Gołąbkowic. Wanda Bohdanowicz z Osuchlib. Cesia Padlewska z Ostałowic. Walerya Szafel z Zagórza. Jadwiga Szaflarska z Nowego Sącza. Ks. Józef Lasko z Rohatyna. Drowa Anna Bibring ze Stanisławowa.

Z teatru. Dziś we czwartek „Hugenoci", opera w 4 aktach Mayerbeera. Jutro w piątek „Hanusia" i „Pan podprefekt". W sobotę „Gioconda", opera w 4 aktach Ponchielllego. Tytułową partyę śpiewać będzie panna Marya De Nunzio, Laurę p. Dąbrowska.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dla szanownych naszych prenumeratorów prospekt na Mickiewicza „Dziady", illustrowane przez Cz. B. Jankowskiego. Zasłużona na polu wydawniczem firma H. Altenberga oddaje do rąk czytelników wytwornie illustrowane to wydawnictwo, chcąc przez to uzupełnić poprzednio już przez nią wydane edycye nieśmiertelnego wieszcza naszego i nie wątpimy, że u ogółu czytającej publiczności dozna wydanie to przychylnego i życzliwego poparcia.

Literatura i Sztuka.

* **Czwarty koncert** galic. Towarz. muzycznego odbędzie się w poniedziałek dnia 2 marca w sali Domu narodnego pod kierownictwem dyrektora R. Schwarza. Biorą w nim udział oprócz orkiestry Towarzystwa muzycznego panie: Karolina Radio de Radiis i Marya de Nunzio. Pierwsza z nich jest to młoda pianistka, zdobywająca sobie w Wiedniu, Berlinie, Lipsku, Dreznie i innych miastach niemieckich sukcesa coraz głośniejsze. Drugą zachwyca się obecnie publiczność nasza jako śpiewaczką operową.

Program koncertu jest bardzo zajmujący, zawiera bowiem między innemi, rzeczy tak interesujące jak uwerturę Wagnera do „Meistersingerów" i koncert Griega na fortepian i orkiestrę.

* **Kronika teatralna.** Jordan (Wieniawski) wystąpił w warszawskim Teatrze wielkim z krotochwilą: „Wilki i owce." „Wilki i owce" to oszuści i łatwowierni. Temat bardzo szeroki; tak szeroki, że Jordan, nie kusząc się bynajmniej o komedyę społeczną, zacieśnia od razu ramy swej humorystyki i ugrupowawszy kilkanaście osób, które rozgatunkował na wyzyskiwaczów i wyzyskanych, około drobnego fakciku z kuryerkowej kroniki bieżącej, łączy je nicią bylejakiej fabuły i wprowadza na scenę. Dowcipów i konceptów w krotochwili bez liku.

Do najzabawniejszych należy może przeprowadzenie ekspozycyi sztuki... w łazience, wśród przekomarzań się gości, czekających na wolną wannę. Tam poznaje się między sobą większa część „owiec" po to, żeby następnie oddać się wspólnie na pożarcie „wilkom", których zjawienie się mamy również w poczekalni zapowiedziane; tam wreszcie poznajemy zakochanych, mających później pretensyę do naszej sympatyi. Słowem, gdyby nie kąpiel, możeby i sztuki nie było.

Utwór Jordana rozgrywa się w jakiemś większem mieście. W pierwszym akcie znajdujemy się w sali zakładu łazienkowego, utrzymywanego przez pana Kokoszyńskiego, ojca trzech córek: Geni, Tereni i trzeciej będącej jeszcze na pensyi. Młodsza, Terenia, pracowite dziewczę, pomagające ojcu, ma już narzeczonego w osobie młodego inżyniera Cichowicza, który odpłaca się jej wzajemnością. Przesuwa się kolejno cała galerya kandydatów do wanny: naprzód p. Trzosek, zamożny właściciel ziemski i zagorzały dotąd zwolennik celibatu; dalej p. Grzechotkiewicz, młody laluś, starający się o starszą pannę Kokoszyńską, Genię, która ma nieco przewróconą główkę; państwo Ciemięgowscy, on podtatusiały safanduła, ona zakochana w mężu, którego zmusza do poddawania się masażowi; dobroduszny i w gorącej wodzie kąpany krzykacz, obywatel Rajtarski; wreszcie starszy już wiekiem rejent Zawracki, idyotyczny profesor Zerowicz i wdowa Pytelska z córką Franią. W tem gronie „owiec" zjawia się „wilk"

w osobie p. Pamfila, młodego, eleganckiego człowieka, podobno Hiszpana czy Portugalczyka, urodzonego rzekomo z matki Polki. Występuje on tu jako dyrektor świeżo założonego banku, mającego na celu uszczęśliwienie szerokich mas ludności sprzedażą pożyczek na raty, oraz przyjmowaniem wkładek oszczędności, nawet w wysokości rubla. Projekt „wilka“ przedstawiony zebranym w domu Kokoszyńskiego gościom, znajduje uznanie i w trzecim akcie widzimy tłumy biedaków i zamożnych, cisnące się do kasy banku ze swemi krwawemi oszczędnościami. Posłańcy, kucharki, służba i rzemieślnicy ocierają się tu o pp. Grzechotkiewicza, Rajtarskiego, Zawrackiego i innych, którzy są klientami banku i dobrymi przyjaciołmi gościnnego dyrektora. Najdłużej bronił się pokusie obywatel ziemski p. Trzosek, ale i on zjawia się wreszcie, składając w depozyt kilka listów zastawnych, które boi się trzymać w hotelu. Jak łatwo przewidzieć, Pamfil, naściągawszy w ciągu roku istnienia swego banku mnóstwo kapitału, ogołaca kasy ze wszystkich pieniędzy i czmycha, gdzie pieprz rośnie. Ostrzyżone przez „wilka“ potulne „owce“ dowiadują się o skutkach swej lekkomyślności w ostatnim akcie, gdy już straty odzyskać niepodobna.

Utwór wygląda na szkic, podmalowany niewątpliwie wprawną ręką, ale nie wykończony w szczegółach.

Więcej nowości polskich zapisać dziś nie możemy. Przenosimy się więc do Berlina. Zanim rozpoczniemy przegląd wystawionych tam nowości, posłuchajmy zdania tak wytrawnego znawcy sceny, jak Józef Kotarbiński, który zwiedziwszy Berlin przed dwoma miesiącami i wystudyowawszy tameczne teatra, tak o nich pisze w warszawskiej *Gazecie polskiej*:

„......Pod względem gry aktorskiej, celniejsze teatra dramatyczne berlińskie stoją wysoko. Panuje w nich zdrowy realizm, a działanie jego w stosunku do rutyny i konwenansów teatralnych jest bardzo... odświeżające. Do Berlina radziłbym koniecznie jechać na studya naszym aktorom młodym, a nawet i starszym. Ja, chociaż dziewiętnaście lat już pracuję na scenie, nauczyłem się niemało z siedmiu wieczorów spędzonych w teatrach nadsprejskiej stolicy. Można tam się przekonać, że realizm estetyczny — chociaż zrywa z akademickiemi formułami, chociaż pozwala aktorowi odwracać się od publiczności, chociaż wprowadza rozmaitość i naturalność w układzie sytuacyi, strzeże się jednak efektów gminnych i niesmacznej krzykliwości. Można się nauczyć, że wykończenie i wydobycie wszystkich odcieni z roli nie ma nic wspólnego z jej przeforsowaniem, z tonem jaskrawym, z podkreślaniem wszystkich frazesów gestami, ze stylizowaniem niewłaściwem w rolach współczesnych, z graniem solowem i wydobywaniem wszystkich efektów *en face*. Można się tam nauczyć, że gra skupiona i prawdziwa niekoniecznie powinna być bladą, albo dociągniętą do szarego, ultrapowściągliwego tonu.

Co prawda najmniej w tym kierunku mogłem skorzystać w „*Schauspielhaus*'ie“, gdzie widziałem słynnego Fryderyka Haasego w „Minnie v. Barnhelm“ Lessing'a. W szeregu gościnnych występów grał on wtedy maleńką rólkę awanturnika francuskiego Riccaut de la Marlinière, który z zabawnym cynizmem uważa szachrowanie w karty za godziwy sposób „poprawiania losu“. Haase jest znakomitym aktorem charakterystycznym i grywa z wielkiem powodzeniem role, w których koniecznem jest makaronizowanie francuskie, imponując dobrym akcentem Niemcom, którzy mówią po francusku haniebnie. W tej rólce był na scenie przez kwadrans, a jednak musiałem na jego występ zapłacić przekupniowi za bilet parę marek po nad zwyczajną cenę. Gra Haasego jest wykończoną po flamandzku. Żywą postacią był ten oficer francuski, z wykrzywionemi zabawnie rękoma, stary, pretensyonalny, trochę głupkowaty, komiczną powagą maskujący swą szulerską nędzę. Rola ta należała do wybitnych dzieł gry rodzajowej, ale równie dobre, a może i lepsze w tym rodzaju widzieliśmy na scenie Rozmaitości, jak n. p. „Pan Benet“ Żółkowskiego, stary żołnierz w „Było to pod Wagram“ Królikowskiego, margrabia w „Partyi Pikiety“ Rapackiego albo „Trefniś“ Rychtera. Nasi artyści nie robili z tego wielkiej — parady i nie brali tych ról na gościnne występy. Całość wykonania tej komedyi wcale mnie nie zbudowała. Oprócz Wollnera, który z wytwornym komizmem oddał rolę właściciela oberży, gra kobiet w dwóch rolach nie wznosiła się po nad poziom poprawności. Inni mężczyźni stwierdzili dawniejszą renomę aktorów drugorzędnych niemieckich, którzy gadają, robią miny, starają się o efekta teatralne, ale mało przypominają żywych ludzi. Nie mogę wydawać stanowczego sądu, ale z tego jednego widowiska w „*Schauspielhaus*'ie“ zaleciała mnie stęchlizna rutyny, która idzie w parze z powagą protegowanych mierności.

Rozkoszowałem się za to w „*Deutsches Theater*“ grą Sormy w „Żydówce z Toledo“ Grillparzer'a. Sama sztuka jest zajmującą w trzech pierwszych aktach, gdy przedstawia romans Alfonsa VIII, szlachetnego króla Kastylii, z Rachelą, córką żyda Izaaka. Podobnie jak Kleist w „Kasi z Heilbronn“, przedstawił tu Grillparzer siłę nieprzepartą miłości, która pochłania całą istność kobiety, ubezwładnia jej wolę, staje się ślepą, zapamiętałą W dramacie Kleist'a miłość ta rozwija się na tle opętania, jest rodzajem hypnozy sentymentalnej, u Grillparzer'a tłem jej — gorący temperament wschodni, szał namiętny a jednak poetyczny, który gna młodą żydówkę jak ćmę do płomienia. W trzech pierwszych aktach poeta odmalował w sposób narkotyczny dzieje tej miłości, która upaja niby haszysz, oddala króla od boku małżonki, od poważnych spraw państwa. W akcie trzecim i czwartym akcya wchodzi w dziedzinę dramatu politycznego: barwny i namiętny romantyzm ustępuje retoryce, która jest plagą nowożytnego dramatu niemieckiego.

Nie można sobie wystawić powabniejszej gry nad tę, jaką rozwinęła Sorma w roli Racheli. Życie, namiętność gorejąca w błyskach oczu, w rozchyleniu nozdrzy, połączona z wdziękiem i szałem młodości! Była to gibka i zwinna, jak pantera, dziewczyna południowa; każdy jej nerw drżał pragnieniem rozkoszy, z oczu tryskała ciekawość, a gdy padła do nóg uwielbianego króla, cała jej istota dyszała żądzą, upojeniem, pokorą niewolniczą, która potem zamieniła się w dumę dziką i nieposkromioną. A w trzecim akcie, gdy stała się królewską ulubienicą, gdy wjeżdżała na scenę w złoconej gondoli, albo w cieniu drzewa spoczywała na poduszkach, ubrana w miękkie jedwabne szaty, była uosobieniem hurysy wschodniej z wdziękiem na pół dziecięcym a na pół lubieżnym, z kaprysami rozpieszczonej kotki, która w końcu, w chwili rozstania z oblubieńcem, wybuchnęła krzykiem kobiety cierpiącej i zdradzonej.

Ostatnie dwa akty bez Sormy wydały się czcze i nużące. Nie mógł ich uratować Kainz, który tym razem dźwigał ciężar roli nieznośnej. W szybkiem, niekiedy gorączkowem tempie mówił długie tyrady, nie wiem dlaczego ich nie skracał, nie mógł jednak tchnąć życia w ten worek frazesów, jakim uczynił króla autor. Kainz w „Mistrzu z Palmyry“ pokazał, jak można grać rolę w dramacie pół klasycznym, wyzwalając się z akademickiej maniery i kładąc nacisk na ich treść psychiczną, ogólnie ludzką. Tutaj jednak nie mógł stworzyć człowieka, a nie miał na zawołanie tych form estetycznych, jakie daje styl akademicki. Imponował tylko ruchliwością i werwą. Całość wykonania pod względem układu techniki scenicznej była piękną, — ale jedynem w swoim rodzaju arcydziełem gry i reżyseryi było wykonanie w tymże teatrze „Tkaczów“ Hauptmann'a.

Nie będę mówił o samej sztuce, której nie bez racyi przyznają takie znaczenie przy schyłku naszego stulecia, jakie miały „Zbójcy“ Schiller'a przy końcu zeszłego wieku. Efekt, jaki na scenie sprawiają „Tkacze“, można porównać do wybuchu granatu, którego każdy odłamek trafia tam, gdzie chciał autor. Pomijając społeczne znaczenie sztuki, stanowi ona zupełny przewrót pod względem literackim. Hauptmann odrzucił wszelkie formuły, konwenanse teatralne, stworzył dramat bez romansu, bez intryg, bez wielkich ról, bez niespodzianek i sztuczek teatralnych. Może właśnie dlatego działa ona na widza z taką elementarną siłą. Spoiwem tutaj jest tylko jedność tematu i jedność obrazu życiowego piekła. Pod względem scenicznym przedstawienie „Tkaczów“ jest arcydziełem realizmu w najdrobniejszych szczegółach. Nawet mniej przyjemne strony tego realizmu, zwłaszcza w odzieży i ukostyumowaniu, są tu potrzebne do spotęgowania efektu w zamierzonym kierunku. Pięćdziesiąt cztery role grane z nieposzlakowaną prawdą składają się na całość wykonania, nie mówiąc o całej masie statystów znakomicie wyćwiczonych. Reżyseryę sztuki prowadził Cord Hachman po mistrzowsku, pamiętając o najmniejszym szczególe zewnętrznym, nadając układowi scenicznemu życie, naturalność i swobodę. Nie brał on udziału w wykonaniu sztuki — wedle zwyczaju przyjętego w większych teatrach niemieckich. Wytwarza się tam osobna kategorya fachowych kierowników artystycznych, inscenizatorów, którzy dbają o harmonię całości, nie myśląc o laurach aktorskich.

Pod względem scenetyi i wystawy, imponującem także było wystawienie 5 aktowej opery Sullivan'a „Ivanhoe“, osnutej na tle znanego romansu Walter-Scott'a. Libretto jest klejonką scen bardzo niezdarną, a muzyka nikogo nie zachwyciła. Zachciało się autorowi „Mikada“ porzucić świetną i wysoce artystyczną bufonadę dla wielkiego stylu. Siląc się na powagę dowiódł on, że nowa metoda tworzenia muzycznego dramatu, nie poparta talentem, wydaje dzieła rozpaczliwie jałowe. Wśród powodzi dźwięków, wśród usiłowań stworzenia czegoś podniosłego i pompatycznego, ucho nasze rzadko tylko chwyta w akcie II przebłyski melodyi, albo nieliczne piękności symfoniczne w orkiestrowej stronie dzieła. Przedstawienie było harmonijne i piękne, ale w wykonaniu pojedyńczych partyi nie uderzało niczem wybitnem Zewnętrzna za to szata opery przenosiła cudownie w świat rycerski. W akcie I widzieliśmy zgromadzenie rycerskie w wielkiej sali saksońskiego burgu, budowanego z głazów, oryginalnego w swej ponurej prostocie. W obrazie drugim tegoż aktu scena turniejowa, wyreżyserowana znakomicie; w akcie III pożar drewnianego zamku, zdobytego przez Ryszarda Lwie Serce, przedstawione w trzech kolejnych obrazach; w ostatnim wreszcie akcie wspaniała scena w dziedzińcu klasztoru Templaryuszów. Wszystko wykonane wiernie pod względem archeologicznym, a w układzie scenicznym znakomite. Chóry np. są prowadzone wedle ścisłych wymagań akcyi dramatycznej. W akcie I śpiewają zwrócone tyłem do publiczności, albowiem tak wymaga logika. W obrazie turniejowym ruszają się one po meiningeńsku, a jednak muzykalna strona nic na tem nie traci. Zerwano tu widocznie ze starą tradycyą, która zamienia chórzystów na śpiewające manekiny i robi z nich materyał trudny do rozruszania w akcyi teatralnej.

Jednem słowem reżyserowie bardzo dużo mogą się nauczyć w teatrach berlińskich, mogą przekonać się, że, pomimo staranności zewnętrznej, obmyślenie sytuacyi, układ scen i obrazów ensemblowych i wlanie życia w zbiorową masę jest tam głównem zadaniem inscenizacyi, którego nie zastąpią tapicerskie i dekoracyjne sztuczki.“

Tyle Kotarbiński. Wyobrażamy sobie więc jak wypaść musiało wobec takiej reżyseryi i staranności wystawienia wspaniałe dzieło Wildenbrucha: „Król Henryk“. Zasługa wprowadzenia na deski sztuki tej, tchnącej tytanizmem Schillerów i Goetych, przypadła w udziale odważnemu dyrektorowi „Teatru berlińskiego“. Krytyka tym razem poznała się na znakomitem dziele i, jeśli zawyrokowała, że jest to najlepszy utwór dramatyczny niemiecki w ciągu ostatniego pół wieku, zawyrokowała słusznie. Że i na słońcu znajdzie oko szperacza plamy, to rzecz znana. Że i sztuka Wildenbrucha ma swe niemałe błędy, można było z góry przewidzieć, zwłaszcza, że traktuje walkę Henryka IV z Papieżem Grzegorzem VII — przedmiot, wobec którego tąk trudno zachować niekatolikowi bezstronność. Ale mimo wszystkich wad trzeba czołem uderzyć przed tak głębokiem pojęciem charakteru tak walki samej, jak i obu walczących. Walka to dwu ludzi tytanów, przedstawicieli dwu sił wrogich sobie, na szkodę obojga, choć czują ku sobie wzajem jakiś nieokreślony pociąg — siły fizycznej, materyalnej i siły wyższej, ducha... ale ludzi w każdym calu, z wadami i zaletami niepowszedniemi, a nie typów, symbolów, szablonowych figurek. Nie roszcząc sobie wcale pretensyi do dokładnego streszczenia sztuki, wymagającej od widza pełnej uwagi przez 4 godziny, naszkicuję rozwój jej aktami, których jest pięć, nie wliczając prologu. Pragnących poznać nowe to dzieło Wildenbrucha z lektury, powiadamiam o ukazaniu się jego w druku pt.: „König Heinrich und sein Geschlecht (Berlin, 1895 r.)

W prologu widzimy przyszłego bohatera smutnej tragedyi dziejowej dzieckiem, nie kochanem przez matkę i wobec niej krnąbrnem, ale uwielbiającem ojca i okazującem popędy szlachetne. Poznaje się na znakomitym materyale na niezwykłego władcę archidyakon Hildebrand, który się z nim spotyka w dzień zapowiadający się wesoło, a skończyć mający smutnie — śmiercią Henryka III. Ledwie wieść o nagłym zgonie króla nadeszła, książęta sascy, nienawidzący rodu królewskiego, porywają królewicza w oczach znieczulonej nieszczęściami matki i oddają na wychowanie arcybiskupowi Annonowi, żeby zeń nie wyrósł król dla nich groźniejszy od ojca Ale kto wiatr sieje, zbiera burzę. Henryk, wyrósłszy z opieki, poskramia orężem krnąbrnych wasalów i wlecze ich w tryumfalnym pochodzie za sobą do Wormacyi. Tu go spostrzegamy w akcie pierwszym, pijanego szałem zwycięstwa i dyszącego żądzą zemsty za zniszczoną młodość, którą strawić musiał pod okiem opiekunów srogich i przy boku narzuconej mu w dzieciństwie żony. Szał jego nie zna granic, urąga skutym w kajdany wielmożom i biskupom, ucztuje przy boku żony jednego z wrogów swych, którą był pokochał niegdyś (żonę własną z dziecięciem odtrącił od siebie) — wszystko to bezkarnie. Ale nie! kara właśnie nadciąga stamtąd, skąd się jej nie spodziewał w swem zaślepieniu — z Rzymu od Hildebranda, obecnie papieża Grzegorza. Oto wraz z nieszczęsną matką, która ciska gromy na głowę syna i męża wyrodnego, wraca posłaniec od Kuryi, donosząc, że Papież odmawia ukoronowania Henryka z powodu niemoralnego życia jego i licznych innych grzechów. W złą godzinę padły te wyrazy, Henryk w najwyższej wściekłości szle list obelżywy do Papieża, wzywając go do ustąpienia krzesła Piotrowego innemu, którego on, król, sam na nie przeznaczy. Idzie posłaniec z listem do Papieża, którego w całym blasku cnót i mądrości świetnie przedstawia autor w akcie drugim. Idzie, a z nim stają przed Stolicą Apostolską wrogowie Henryka, owi książęta sascy, kusząc Grzegorza do strącenia winnego z tronu, podchlebiając mu władzą rozporządzania koronami. Nie daje im wielki Papież posłuchu, bo w pamięci jego tkwi Henryk, jako dziecko, które umiłował. Odpuszcza więc królowi winę, jaką jest obelga publiczna, zawarta w liście, odczytanym przez posłańca. Ale Henryk w liście tym porwał się też na Kościół i za to go Papież z bolem serca wyklina z całą uroczystością tego ponurego aktu.

W następnej odsłonie widzimy skutki klątwy. Henryk opuszczony przez wszystkich: tylko żona, odtrącona przezeń, pozostaje przy nim jako sługa, i tu Henryk poznaje całe jej poświęcenie i miłość. A „miłość w serce miłość tchnie“, trzeba tylko pobudki, a ten człowiek — równie wielki w złem, jak w dobrem — zrozumie swą winę i podda się skrusze. Pobudkę tę stanowi zjawienie się mieszczan wormackich, którzy, pomni łask króla, chcą stanąć przy nim wobec wyboru nowego władcy Rudolfa, dokonanego przez przeciwników Henryka. „Więc znów ma krew popłynąć, i to z powodu mnie!“ woła Henryk, którego serce pod wpływem rozsadzającego je uczucia błogości z powodu odzyskania żony chciałoby miłością objąć kraj cały... świat cały. On chce być aniołem pokoju, błogosławieństwem Niemiec, a nie ich klątwą, nie chce krwi rozlewu. Nie chce. Ale gdzie droga wyjścia? Żona ją wskazuje; przebłaganie Papieża. Idzie więc Henryk do Kanosy, staje przed zamkiem, w którym zwolennicy Rudolfa wraz z samym pretendentem czekają decyzyi Papieża. Głowa Kościoła walczy z sobą, a raczej z człowiekiem, Hildebrandem, plebejuszem.. to główna treść aktu czwartego. Opat klunjacki popiera sprawę Henryka; ale Grzegorz jest przekonany, że Henryk nie uchyli przed nim czoła, tak jak Rudolf. Po długiej walce zakazuje wpuścić pokutnika do zamku. Lecz trzy dni mijają, a pokutnik nie ustępuje; Grzegorz wciąż walczy z sobą Zjawia się matka Henryka i swemi zaklęciami zdobywa na nim upragnione pozwolenie. Wchodzi Henryk w szacie pokutnej, kaja się ze swych grzechów, otrzymuje rozgrzeszenie, padają sobie w objęcia Henryk i Grzegorz; lecz nie na długo. Henryk spostrzega Rudolfa i jego popleczników, a gdy od Papieża nie otrzymuje jasnej i kategorycznej odpowiedzi, zapowiada bój ponowny, tym razem ufny w słuszność sprawy mimo ponownej klątwy. Akt piąty: Papież oblężony w zamku św. Anioła, bezsilny, lada chwila zamek zdobędą. Grzegorz nie chce ustąpić, koronę cesarską każe sobie przynieść, nie wyda jej za żadną cenę. Wtem zjawia się wysłaniec Henryka, właściwie on sam. Następnie rozmowa sam na sam, w której stają naprzeciw siebie dwie wrogie moce; dzieli je parę kroków, ale żadna nie chce ustąpić, żadna ugiąć się przed drugą. To też rozchodzą się, jak się zeszli, a Henryk na odchodnem przeklina żądnego władzy Hildebranda. To przekleństwo ukochanego Henryka łamie siły starca. Wieść o zdobyciu zamku i wybór nowego Papieża z ramienia Henryka, który dopiął swego, dobija Grzegorza, opuszczonego przez wszystkich z wyjątkiem fanatycznie doń przywiązanego księdza. Ten kapłan siłą swej wiary godzi go ze światem i Grzegorz umiera, wierząc, że sprawa Kościoła zwycięży.

Bez wątpienia zimny, trzeźwy sędzia, przebiegając okiem te kontury wielkiej tragedyi, znajdzie niejedno, coby można wytknąć. Ale niech krytyk uda się na przedstawienie dzieła Wildenbrucha, a przekona się, że wobec niego niepodobna zachować tego spokoju. Akcya toczy się niby lawina, porywa i unosi widza z sobą, wbrew jego woli. Powtarza się z nim to samo, co dziać się musiało przed wiekami na przedstawieniach Eschylosa, Sofoklesa i innych, co od wieku powtarza się podczas przedstawień „Zbójców“, „Don Carlosa“ i innych dzieł sztuki scenicznej, których wady, widoczne oku naszemu, są niczem wobec zalet niepowszednich.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 25 lutego.

(Z.) Wszystko składało się początkowo dziś na to, aby zatrzeć ujemne wrażenie, wywołane wczoraj pogłoskami o niekorzystnym bilansie węgierskiego Zakładu kredytowego. Bilans ten bowiem okazał się w rzeczywistości wcale korzystnym, a i targi zagraniczne sprzyjały dziś tendencyi zwyżkowej. Na giełdzie paryskiej renta włoska poszła znacznie w górę. I rzeczywiście prąd zwyżkowy wziął w pierwszem stadyum stanowczo górę, ale nie utrzymał się do końca, gdyż ponowne znaczne sprzedaże obu akcyi kredytowych i podrożenie reportu wywołało reakcyę tak, że międzynarodowe walory bankowe zamknięto niżej niż wczoraj. Zwyżkę uzyskały tylko papiery kolejowe, bilanse tygodniowe bowiem kolei wykazują znaczny wzrost transportu towarów a tem samem i dochodów kolejowych. Także losy tureckie były przedmiotem ożywionego handlu zarówno w Paryżu jak i u nas.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 379 75, węgierskie 419 50, Anglobanki 173 50, Uniony 315·—, Bankvereiny 146·50, Länderbanki 255·25, Ludwiki 221·25, Czerniowieckie 295·—, Elbethale 281·50, Renta papierowa 100·90, srebrna 100·95, austryacka złota 121·95, austr. renta wal. kor. 101·40, węgierska złota 122·25, węgierska renta wal. kor. 99·05, dukat 5·65, 20-frankówka 9·56 —, marki 11·79, ruble 1·28 1/4.

§ **Giełda towarowa.** Wiedeń 27 lutego. Cukier surowy loco Aussig 16.05—16.10, loco Ołomuniec 15 10—15.20, loco Berno Wiedeń 15 20 do 15.20, na marzec loco Aussig —.—. Cukier rafinowany prima loco Wiedeń 34.— do 34 50, secunda —.—. Spirytus kontyngentowy loco Wiedeń 14.70—14.80. Petrolej kaukazki transito Tryest 5, galicyjski przeźroczysty 20 50 do 20.75.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 27 lutego. Komisya dla reformy wyborczej przeprowadziła wczoraj debatę jeneralną nad rządowym projektem reformy wyborczej. Narodowiec niemiecki p. Krauss występował przeciw wyborom pośrednim i przeciw wykluczeniu czeladzi od prawa głosowania, nadto zażądał dwóch głosów dla tych wyborców, którzy ukończyli szkoły ludowe i dla tych, którzy mają więcej niż 45 lat. Słoweniec Kljun domagał się przywrócenia sejmom prawa wysyłania delegacyi do rady państwa, ale konkretnego wniosku w tej mierze nie postawił. Nadto oświadczył się za bezpośrednimi wyborami i za tem, ażeby każda gmina parafialna była miejscem wyboru. Młodoczech Brzorad żądał przejścia do porządku dziennego nad rządowym projektem i zaprowadzenia bezpośrednich, tajnych, powszechnych wyborów. Pos. Bauer żądał, aby dotychczasowy census podatkowy w kuryach zagwarantowano przez uchwalenie postanowienia, iż zmienić go można tylko większością dwóch trzecich głosów. P. Dipauli sprzeciwia się temu i żąda zniżenia tego censusu — zresztą zgadza się na projekt rządowy.

Prezes gabinetu hr. Badeni oświadczył, że rząd przywiązuje wielką wagę do tego, ażeby reforma wyborcza ile możności jak najrychlej była załatwiona. Rychłe załatwienie tej sprawy leży nie tyle w interesie rządu, jak w interesie państwa, parlamentu, stronnictw i całej wreszcie ludności. Mówca pragnie jasno określić, jak rzeczy stoją. Sprawę reformy wyborczej zastał gabinet dzisiejszy już w chwili objęcia rządów. Rząd, układając projekt reformy, musiał baczyć na to, ażeby z jednej strony interesa państwa i społeczeństwa nie zostały naruszone — i w obrębie tych granic obraca się przedłożenie rządowe, gdyż nie narusza dzisiejszych interesów; — z drugiej strony liczył się z tem, ażeby jego projekt był możliwy do przyjęcia dla większości Izby. Rozszerzenie prawa wyborczego wydawało się rządowi koniecznem nietylko ze względu na wniesione poprzednio przedłożenia rządowe, ale także dlatego, że rząd sam uznaje, iż warstwy, nie mające dotychczas prawa wyborczego, posiadają faktycznie prawo domagać się przypuszczenia do głosowania. Co się tyczy proroctw, jak w przyszłości ułoży się nasze prawo wyborcze, oświadcza hr. Badeni, że właśnie przez uchwalenie niniejszego projektu dzisiejsze prawo wyborcze zostanie wzmocnione. Doświadczenia już poczynione gdzieindziej nie są tego rodzaju, ażeby wszędzie wyrobić przekonanie, iż powszechne prawo głosowania jest należytem rozwiązaniem dzisiejszych stosunków. To też i pod tym względem przedłożenie rządowe jest ułożone w ten sposób, iż przyjmując je uniknie się prawdopodobnie tego niebezpieczeństwa, iż w niestósownej chwili będzie się musiało zaprowadzić powszechne prawo głosowania. Przyjmując przedłożenie rządowe, żadne ze stronnictw nie potrzebuje poświęcać jakiejkolwiek zasadniczej cząstki swych zasad.

W obec zgłoszonych poprawek okaże rząd jak największą życzliwość, o ile tylko poprawki te nie przekraczają pewnych granic. Mianowicie nie myśli rząd rozszerzać jeszcze bardziej oznaczonego w tem przedłożeniu koła osób uprawnionych do wyboru, ale też nie uczyni ani kroku w przeciwnym kierunku. Co się tyczy tego, czy wybory mają być bezpośrednie, czy pośrednie, to decyzya w tym względzie musi być pozostawiona Sejmom.

W końcu ponowił hr. Badeni jeszcze raz życzenie, aby Izba jak najrychlej załatwiła tę sprawę.

Na tem zamknięto debatę jeneralną. Następne posiedzenie komisyi odbędzie się jutro.

Komisya podatkowa w myśl stanowczego oświadczenia ministra finansów uchwaliła większością jednego głosu zniżyć o 1 1/2 miliona główną sumę podatku gruntowego. Wszystkie dalej idące wnioski odrzucono.

Wiedeń 27 lutego. Na wczorajszem posiedzeniu Koła polskiego zdał p. Chrzanowski sprawę o wyniku deputacyi, która udała się do ministra wojny w sprawie dostaw dla armii. Na 12.000 ofert na dostawę obuwia z całej Austryi, wpłynęło 8000 ofert z Galicyi, z tych uwzględniło ministerstwo tylko 5000, tak, że na każdego oferenta przypada 5 1/2 pary obuwia.

Następnie p. Popowski domagał się aby reformę podatkową załatwiono przed reformą wyborczą i aby kółkom rolniczym nadano trafiki. — P. Lewakowski domagał się uregulowania taryfy akcyzowej dla Lwowa. — W sprawie tej uchwalono wysłać deputacyę do ministra finansów.

P. Hompesz żądał zwiększenia produkcyi i obniżenia ceny kainitu, zniżenia ceny soli dla bydła i przyśpieszenie reformy podatkowej. — Za przyśpieszeniem reformy podatkowej oświadczyli się również pp. Eugeniusz Abrahamowicz i Piniński, który nadto sprzeciwiał się podwyższeniu podatku od spirytusu.

P. Dzieduszycki żądał większego udziału krajów w nadwyżkach podatkowych.

P. Rutowski żądał, aby zakomunikować rządowi życzenia Koła co do reformy podatkowej, bez względu na to, czy ona będzie załatwiona przed reformą wyborczą, czy po niej i prosił obecnego na posiedzeniu ministra Rittera, aby popierał w gabinecie zapatrywania Koła co do reformy podatkowej.

Na mówcę w pełnej Izbie wyznaczono p. Hompesza, a do trybunału państwowego wybrano p. Tchórznickiego.

Sofia 27 lutego. Wybory do sobrania odbędą się 18 lutego starego stylu, t. j. 2 marca. Między kandydatami znajdują się Cankow i Luckanow. Rząd podobno nie będzie zwalczał kandydatury Cankowa.

Praga 27 lutego. Z Brüxu nadeszło tu prywatne doniesienie, że na tamtejszym dworcu kolei Osiecko-Cieplickiej, pod torem kolejowym zapadła się wczoraj po południu ziemia i powstał otwór 2 metry długi, 1 metr szeroki, a 4 metry głęboki. Na dnie tej jamy znajdowała się woda. Otwór ten zasypano, a do całego wypadku tego nie przywiązują zresztą wielkiego znaczenia.

Sofia 27 lutego. Wczoraj, jako w dzień urodzin cara, odbyło się w tutejszej cerkwi katedralnej uroczyste „Te Deum“, na którem był książę, wszyscy ministrowie i całe ciało dyplomatyczne. Posłowie rosyjski, francuski i serbski przybyli w wielkiej gali. Po nabożeństwie odbyła się parada całego garnizonu. Pomimo fatalnego powietrza, zebrały się przed cerkwią liczne tłumy. Po nabożeństwie wszyscy dyplomaci udali się gremialnie do pałacu i składali gratulacye. Wieczorem iluminowano miasto. Na niektórych ajencyach dyplomatycznych wywieszono flagi.

Berlin 27 lutego. Komisya giełdowa parlamentu niemieckiego przyjęła kilka paragrafów obostrzających niesłychanie handel na giełdzie. I tak jeden z tych paragrafów orzeka, że wszelkie zastósowanie oszukańczych środków, mogących publiczność w błąd wprowadzić, celem wywarcia wpływu na kursa papierów, karane ma być więzieniem i grzywną do 15 tysięcy marek. Publicyści, którzy przez dzienniki w niedozwolony sposób wpływają na kursa lub uwodzą do gry giełdowej, karani być mają więzieniem do jednego roku i grzywną do 20 tysięcy marek. Wywieszenie odezw zachęcających do gry i cedułek z kursami giełdowemi karane być ma więzieniem do sześciu miesięcy, albo grzywną do 1000 marek.

Belgrad 27 lutego. Od dwóch dni szaleje tu straszna burza i zrządziła wielkie szkody. Wiele osób jest ciężko pokaleczonych. Na kolei prowadzącej do Kragujewicza wyskoczył skutkiem burzy pociąg z szyn, wiele wagonów jest pogruchotanych a ruch musiano wstrzymać.

Peszt 27 lutego. Od wczoraj panuje tu ogromna zawieja śnieżna. Komunikacya na ulicach wielce utrudniona. Z wielu okolic Węgier donoszą również o zaspach śnieżnych.

Bruksela 27 lutego. Minister finansów Sinet de Nayer zamianowany został prezesem gabinetu, dotychczasowy prezes ministrów Burlet zamianowany został posłem w Lizbonie.

Madryt 27 lutego. Parlament rozwiązano. Wybory do izby niższej naznaczono na 26 kwietnia a do senatu na 11 maja.

Londyn 27 lutego. „Biuro Reutera“ donosi, że ani Salisbury ani tutejszy ambasador turecki absolutnie nic nie wiedzą o tem wszystkiem, co *Times* doniósł wczoraj o kwestyi egipskiej, tj. jakoby Salisbury odpowiedział Porcie, że propozycye jej są niejasne i jakoby sułtan polecił wielkiemu wezyrowi, ministrowi spraw zagranicznych i prezesowi rady stanu wypracować jasne, konkretne propozycye.

Londyn 27 lutego. Na zgromadzeniu unionistów miał Goschen mowę, w której oświadczył, że nieprawdą jest jakoby Anglia nie miała nic wspólnego z polityką państw kontynentalnych. Stosunki Anglii do Niemiec są serdeczne i obie strony wiedzą o tem, że każda z nich musi bronić swoich własnych praw i interesów.

Próbowano skłonić Anglię do przyłączenia się do grupy mocarstw, Anglia nie chciała się na to zgodzić i przez to wywołała pewne rozgoryczenie.

Odosobnienie Anglii nie jest wynikiem jej słabości, lecz tego, że potrzebuje mieć swobodę działania.

W końcu wyraził Goschen radość z tego, że po ostatnich wypadkach cały kraj uznaje potrzebę powiększenia floty.

Wiedeń 27 lutego. Komisya budżetowa powierzyła referat ustawy o polepszeniu emerytur, tudzież pensyi wdów i sierót po urzędnikach posłowi Beerowi i Lupulowi i poleciła im do dni ośmiu przedłożyć sprawozdanie.

HOTEL IMPERIAL.

KRZYSZTOF JANOWICZ

Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 24 lutego. J. hr. Poniński z Poznania. P. hr. Ludolf i R. br. Schröckinger z Żółkwi. H. br. Spesshardt z Berlina. H. br. Martini z Hermanstadtu. A. ks. Koleński z Rymanowa. J. G. Bader z Mühlhausen R. Klein z Podgórza. W. Lindenbaum z Drohobycza. A. Zapalski z Januszkowiec. M. Sławiński z Nowego Jorku. St. Rychlicki z Wiśnicza.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 26 lutego. JEksc. L. Fabini i dr. R Fellinger z Wiednia. St. hr. Zamoyski z Wysocka. B. Wydżga z Wołynia. W. Wolski ze Schodnicy. A Podoski z Równego. Dr. M. Rosenstock ze Skałatu. J. Klasterski z Drohowyża.

Lwów dnia 27 lutego. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 220.— do 223.—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 293.50 do 298.50. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 387.— do 400.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 2 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 109.80 do 110.50, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 99.80 do 100.50. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.80 do 98.50 4 proc. los. w 42 i pół latach 97.70 do 98.40, 4 proc. los. w 56 lat. 97.60 do 98.50.

Oblig. za 100 zł.: Gal. fund propinacyjnego 4 prc. 97.60 do 98 30. Bukowińskiego fund. propin 5 proc 102.— do —.— Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.— do 102.70. Pożyczki kraj. 6 proc. 105.— do —.—, 4 i pół proc. 99.80 do 100·50, 4 proc. z r. 1891 97·10 do 97.80, 4 proc. po —.— koron z roku 1893 97.20 do 97.90.

Monety. Dukat cesarski 5.61 do 5.71. Napoleondor 9 53 do 9·63. Półimperyał 9.75 do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1 28 do 1.29. 100 marek niemieckich 58.80 do 59.40.

Wiedeń 26 lutego. Notowania wieczorne. Kredyty 378·75, węgierskie kredyty 417.—, anglobank 173·25, bankverein 146·—, unionbank 312·50, länderbank 255 25, staatsbahny 371.37, lombardy 99.—, elbethale 282.25, akcye tytoniowe 192 50, rima 241.50, alpiny 86 20, renta majowa 100.95, węg. renta złota 99.15 austr. renta koronna —.—, losy tureckie 61·10 węg. renta koronna 99 15, marki 59.00, ruble 128.25.

4)

STARGANE ŻYCIE

POWIEŚĆ

przez

W. HEIMBURGA.

(Ciąg dalszy).

Ach, gdyby przynajmniej mogła pracować, mieć jakiś cel w życiu, łatwiej przyszłoby jej znieść swoją niedolę! Ali i tego jej nie wolno; nikomu nie jest potrzebna na świecie i niczego pożytecznego dokonać nie może.

Ciasno jej w murach parku, wybiega więc do lasu, gdzie na wzgórzu pod dębami stoi brzozowa ławeczka, zasypana zeschłemi liśćmi. Dziewczę siada na niej i spłakanemi oczyma wpatruje się w ołowiane niebo, na którem zachodzące słońce rozsnuło kilka smug żółtawych. Wtem słyszy tentent kopyt końskich i widzi jeźdźca, który pędzi leśną drożyną. Serce Dzidzi zabiło mocniej, pomimo mroku i oddalenia poznała Henryka von Perthien. Nie śmie się ruszyć, gdyż nie chce, ażeby ją spostrzegł.

Młodzienie dostrzegł jednak ciemną postać, siedzącą na ławce i bystro się w nią wpatruje. W jednej chwili zeskoczył z konia i, prowadząc go za uzdę, wchodzi na wzgórek.

— Szczęście mi sprzyja! — zawołał wesoło. — Wyobrażałem sobie właśnie, że pani siedzi w salonie i gra Beetheovena, a tymczasem... Kilka dni temu, po raz trzeci próbowałem szczęścia i byłem w Beetzen, ale znowu mię nie przyjęto.

Usiadł obok niej na ławce. Koń stał cierpliwie.

— Stryjostwo nikogo nie przyjmują — wyjąkała zmięszana Dzidzia.

— Ach, jaka to szkoda! A ja się tak cieszyłem na myśl ujrzenia pani.

Dziewczę nic nie odpowiada. Czuje, że powinna odejść natychmiast, ale nie ma siły wyrzec się przyjemności widzenia obcego człowieka. W jej nudnem i jednostajnem życiu podobna sposobność tak rzadko się zdarza.

— Jak pani może wyżyć w ten sposób? — odzywa się Henryk, patrząc na nią z politowaniem.

— Muszę — posępnie odpowiada Dzidzia.

— Radbym podpalić na cztery rogi dwór w Beetzen — mówił Henryk ze śmiechem.

— Ależ to bardzo groźne pragnienie..

— A wtedy rzuciłbym się w ogień, ażeby wyratować panią.

Dzidzia rusza ramionami. Ten niedorzeczny frazes przykrość jej sprawił. Henryk to spostrzegł i zmienił rozmowę.

— Chciałbym, żeby pani poznała moją matkę. Jest bardzo dobra, lubi otaczać się młodemi dziewczętami i rada je bawi. Trapi się tylko, że nie ma córki, którą mogłaby stroić i na bale wozić.

Dzidzia nic nie odpowiedziała, gdyż czuje, że łzy nabiegają jej do oczu. Ach, gdyby ona miała matkę!...

— Pani ma jakieś zmartwienie? — szepce Henryk ze współczuciem, ujmując jej rączkę — Gdyby mi było wolno spytać o nie...

— Nie mam żadnego zmartwienia — odpowiada, wybuchając płaczem.

— Panno Zofio, wyobraź sobie, że masz brata, który podziela całem sercem twoją boleść i chciałby ci pomódz. Cóżbyś mu powiedziała?

— Powiedziałabym mu: „Idź i zostaw mię, bo i ty nic dla mnie uczynić nie możesz." — Powiedziawszy to, powstała, chcąc odejść.

Henryk von Perthien czuje, że trzeba wszystko postawić na kartę; druga taka sposobność może się nie zdarzy.

— Panno Zofio, błagam cię, nie odchodź — prosi i rzuca się przed nią na kolana. — Ach, gdybyś wiedziała, czem dla mnie być możesz!... Byłem dotąd złym i lekkomyślnym człowiekiem, ale odkąd ciebie poznałem, czuję, że mógłbym się stać innym. Ty jedna możesz mię sprowadzić na dobrą drogę.

Dzidzia słucha go, drżąca i pomięszana. On powiada, że pokochał ją od pierwszego spojrzenia, że bez niej żyć nie może, że pod jej wpływem zmieni się zupełnie. Codzień przyjeżdża tu i patrzy w jej okna, tęskni do niej, jak do swego zbawienia. Ach! gdyby ona chciała go pokochać i podać mu rękę, błogosławiłby ją do końca życia.

Serce Dzidzi bije jak młotem, ogarnia ją uczucie niewysłowionej błogości. Ona mogłaby uratować człowieka od zguby, ona jest komuś potrzebną na świecie; znalazł się nakoniec człowiek, który ją pokochał.

— Cóż ja mogę dla pana uczynić? — szepce, składając ręce.

— Daj mi odrobinkę nadziei, że kiedyś wzajemnością odpłacisz moją miłość. Panno Zofio, Dzidziu, nie odtrącaj mię, błagam cię! Powiedz czy będziesz mię kochała?

— Spróbuję — odpowiada naiwnie — ale musisz się pan poprawić.

— O, z pewnością! — mówi Henryk, siadając obok niej na ławce — przy tobie każdy musi być dobrym.

— Musisz pan pomówić ze stryjem — rzekła stanowczo.

— Naturalnie. Jutro będę u niego. Ach, nie posiadam się ze szczęścia, uwierzyć nie mogę, że Zofia von Kronen jest moją narzeczoną.

— Ja stryja przygotuję — oświadczyła Dzidzia i, wyrwawszy mu rękę, którą on okrywał pocałunkami, uciekła, jak spłoszona sarenka.

Zatrzymała się w parku i, oparłszy głowę o drzewo, zalała się łzami. Co ona zrobiła? Dała słowo człowiekowi, którego zaledwie poznała. Co z tego wszystkiego wyniknie? Ale on powiedział, że ona jedna może go uratować od zguby. Czy może brać na swoje sumienie przyszłość człowieka? Dzidzia po namyśle, postanawia dziś jeszcze pomówić ze stryjem i, otarłszy łzy, wraca do ciotki Klementyny.

— Musiałaś ziębnąć, kochaneczko! — rzekła kaleka, nie pytając, gdzie była tak długo — siadaj przed kominkiem, rozgrzej się.

Dziewczę jest istotnie bardzo blade, tylko oczy świecą gorączkowym ogniem Nie umie Dzidzia nic ukrywać, prawość jej serca brzydzi się kłamstwem i obłudą.

— Ciociu, czy sądzisz, że jabym mogła kogo uszczęśliwić na ziemi? — pyta, opierając główkę o poręcz fotelu.

— Niewątpliwie — odpowiada panna Klementyna, niespokojnym wzrokiem badając zmienioną jej twarzyczkę.

— Ja chcę żeby on był dobry i szczęśliwy.

— Dzidziu! — woła przerażona panna Klementyna.

— Zaręczyłam się przed chwilą, cioteczko! Nakoniec będę miała cel życia: mogę sprowadzić człowieka na dobrą drogę i być dla niego szczęściem. Nie wierzysz, ciociu? Naprawdę się zaręczyłam.

— Z kim? Z kim?...

— Z Henrykiem von Perthien. Ojciec jego przyjaźnił się niegdyś ze stryjem. Cóż ty na to, ciociu?

— Jestem bardzo zmartwiona i niespokojna. Postąpiłaś nader nierozważnie, moje dziecko, gdyż dałaś słowo człowiekowi którego nie znasz. Pomów z ojcem i ze stryjem. Niech ci Bóg oszczędzi zawodu i rozczarowania!

— Dlaczego miałabym doznać zawodu? — odparła Dzidzia nieco dotknięta — jestem tak szczęśliwa, że znalazł się człowiek, który mię pokochał.

— Czy byłabyś się z nim zaręczyła, gdyby nie list ojca i wiadomość o małżeństwie Lidzi?

— List ojca wpłynął istotnie na moje postanowienie. Widzę, że nie jestem mu potrzebna; prawdopodobnie będzie rad, że spadnie mu ten kłopot z głowy.

W głosie dziewczęcia brzmi żal i gorycz.

— A stryjostwo?

— Dla nich jestem tylko ciężarem.

— Niewdzięczne dziecko!

— Bynajmniej, ciociu! Oni o mnie wcale nie dbają; nie widujesz nas razem, więc nie wiesz, jaki jest stosunek między nami.

— Wiem, że Joachim cię lubi, choć nie okazuje tego.

Dzidzia rusza ramionami. Być lubioną, to dla niej za mało, ona chce być kochaną.

— Przekonasz się, ciociu, że nikt tu nie poczuje mego braku — mówi i, ucałowawszy rękę ciotki, wychodzi szukać stryja.

Pan Joachim jest w swoim pokoju i stoi właśnie przed portretem syna. Na ścianach wiszą strzelby, oraz mnóstwo rogów jelenich.

— To ty, Dzidziu? Czego chcesz?

— Pomówić z tobą, stryju!

— Dostałaś pewno list od ojca?

— Tak, ale nie o to idzie... Jutro będziesz miał gościa, stryju!

— Broń Boże! Kazałem Fryderykowi, ażeby nikogo nie przyjmował.

— Proszę cię, stryju, abyś zrobił wyjątek tym razem. Sprawa jest bardzo ważna..

— Cóż to wszystko znaczy, u licha! — pyta pan Joachim, zaniepokojony jej pomięszaniem i uroczy tym tonem głosu.

— Pan von Perthien chciałby...

— Co? — przerwał ostro. — Bardzo żałuję, ale z tym paniczem nie chcę mieć nic do czynienia.

— Pan von Perthien zamierza cię prosić o moją rękę, stryju! Nie gniewaj się, ale ja jestem jego narzeczoną.

— Oszalałaś chyba, dziewczyno! Przedewszystkiem nie wolno ci się zaręczać bez woli ojca. Czy rozumiesz?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zadządca W. Hodak.